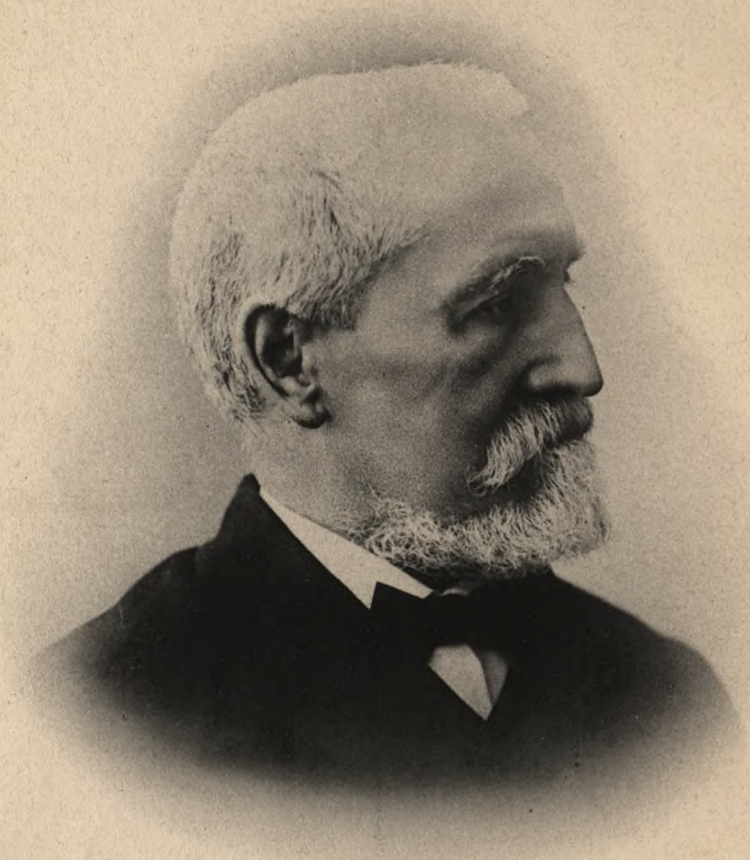
Jan Bartkowski.

WSPOMNIENIA

Z 1830|31 ROKU.

(FRAGMENT).

LWÓW.
Z drukarni Władysława Łozińskiego.
Zarządca W. J. Weber.
1898.



Jan Bartkowski.

WSPOMNIENIA

Z 1830|31 ROKU.

(FRAGMENT).

LWÓW.
Z drukarni Władysława Łozińskiego.
Zarządca W. J. Weber.
1898.

(Odbitka z „Przewodnika naukowego i liter.“).

Wspomnienia niniejsze, spisane według zachowanych własnoręcznych notatek z lat 1830—1836, nie są pamiętnikami ani męża stanu, ani wodza, ani szeregiem mniej więcej interesujących zdarzeń, wylęgłych w bujnej imaginacyi powieściopisarza. Są one prostem opowiadaniem udziału, jaki wziąłem w powstaniu naszem i w walce 1830/31 roku, jako uczeń uniwersytetu a następnie jako prosty żołnierz, oraz wędrówki mojej do Francyi i życia emigracyjnego w pierwszych kilku latach naszego wychodźtwa.

Opowiadanie moje nie rości sobie też bynajmniej prawa być uważanem jako utwór literacki. Ma tylko jedną zaletę: jest p r a w d z i w e m odzwierciedleniem tego, czego sam byłem świadkiem. To mogę zapewnić pod słowem uczciwego człowieka.

Jan Bartkowski.

I.

Powstanie 29-go listopada 1830 r.

Opuściłem dom rodzicielski w Działdowie przed końcem wakacyi uniwersyteckich roku 1830 i powróciłem do Warszawy.

Warszawa zdawała mi się zrazu pustą, ponieważ młodzież uniwersytecka po większej części była jeszcze na prowincyi. Spotkałem przecież kilku znajomych kolegów (między innymi Słabowskiego z Kielc), którzy mi udzielili wielkiej nowiny, o której jeszcze gazetom nie wolno było pisać. Była to pierwsza wieść o rewolucyi we Francyi. Im bliższe dochodziły nas szczegóły o walce lipcowej, tem większe wyradzały się nadzieje w żywej wyobraźni młodzieży. Wkrótce uczniowie uniwersytetu zaczęli wracać do stolicy, a że i wojsko już opuszczało obóz pod Powązkami, akademicy i podchorążowie oraz oficerowie młodsi piechoty skwapliwie garnęli się w małe kółka i cichaczem rozprawiali już nie tyle o wypadkach w Paryżu, jak raczej o prawdopodobieństwie powstania własnego kraju i pomocy w takim razie ze strony Francyi. Wiara w bliskie poruszenie upowszechniała się coraz więcej między mieszkańcami Warszawy i zagrzewała coraz bardziej ich doświadczoną gotowość do czynu. Tymczasem zapał młodzieży objawiał się w nieroztropnych, ale dość naturalnych wybuchach nienawiści narodowej przeciw Rossyanom, a nawet i Niemcom, przebywającym w Warszawie, których gnębiono, kiedykolwiek okazya się nastręczyła.

Nienawiść ta okazała się jawnie po nabożeństwie żałobnem, którem uczniowie uniwersytetu postanowili uczcić poległych na Pradze 1794 roku. Zamówiono nabożeństwo u OO. Kapucynów. Katafalk był ozdobiony licznym i ciekawym zbiorem staroświeckiej broni polskiej i tureckiej. Kościół był zapełniony młodzieżą i już ksiądz był gotów wyjść ze mszą, kiedy wiceprezydent miasta Warszawy, czyli raczej naczelnik policyi, Lubowidzki, spiesznym krokiem wpadł do zakrystyi i księdzu zakazał nabożeństwo odprawić.

Nie daliśmy się wszakże odwieść od powziętego zamiaru. Posłano w deputacyi dwóch uczniów do księdza proboszcza na Pradze i zamówiono na dzień następny nabożeństwo za dusze zmarłych braci. Nie wiem, czy ksiądz się domyślił intencyi prawdziwej lub nie. Wszelakoż nabożeństwo zostało odprawionem w asystencyi wszystkich niemal uczniów uniwersytetu.

Wychodząc z kościółka, który nas nawet nie mógł pomieścić wszystkich, ujrzeliśmy przy drzwiach wieśniaka w podeszłym wieku z kilkoma pękami sękatych kijów dębowych, które z lasu niósł do Warszawy na sprzedaż. Tknięci myślą, że ten staruszek może był dawnym towarzyszem broni Kościuszki, równocześnie kilku ofiarowało mu wsparcie. Wtem któryś z kolegów wyciąga jeden z tych kijów i pyta: „Po czemu to, ojcze, sprzedajecie te kije?“ — „Po dwa grosze, paniczu.“ — „Jakto, po dwa grosze? a wszakże to są wojdówki i każda warta przynajmniej dziesięć groszy.“ Biorąc zarazem dębniak jeden, zapłacił za niego dziesiątaka. Za tym przykładem dziesięciogroszówki zaczęły się sypać, jak grad, do kapelusza biednego starca i w mgnieniu oka wszystkie kije zostały rozebrane. Tak uzbrojeni w wojdówki, wracaliśmy gromadnie do Warszawy; aż tu na środku mostu spotykamy znanego szpiega, Jurgaszkę, kapitana żandarmów, który z brzydkiej kałmuckiej twarzy już nieco podobny do W. Księcia Konstantego, przez służalstwo jeszcze bardziej usiłował naśladować go w postawie i w noszeniu kapelusza. — „Za późno już idziesz nas szpiegować“ — zawołali pierwsi, którzy go spotkali. Jurgaszka, oplwany przez młodzież przechodzącą, przycisnął się do poręczy mostu i śpiesznie, milczkiem dążył na Pragę. Sądziliśmy, że nastąpią poszukiwania ze strony władz; ale widać przez wzgląd na zbyt znaczną liczbę winowajców zaniechano dalszej inkwizycyi i cała sprawa zakończyła się zwołaniem wszystkich wydziałów do wielkiej sali posiedzeń, gdzie ksiądz rektor Szwejkowski, wbrew własnemu sercu, musiał nam dać upomnienie za postępek, który z rozkazu W. Księcia nazwał burdą.

Wkrótce po rozpoczęciu kursów uniwersyteckich Szymański Napoleon, uczeń wydziału lekarskiego, uwiadomił mnie o egzystencyi spisku, mającego na celu oswobodzenie kraju naszego, zapewniając zarazem, że nietylko większa część oficerów młodszych załogi polskiej w Warszawie oraz po pułkach na prowincyi, i szkoła podchorążych [1]), należą do tegoż związku, ale nawet osoby wyższe, otoczone powszechnem poważaniem narodu, jak n. p. Chłopi-

---

[1]) Szkoła piechoty.

cki [1]), Niemcewicz, Lelewel i inni. Dla zasłonienia związku od zdrady, podzielono go na małe kółka, ktore miały się komunikować jedno z drugiem tylko za pośrednictwem jednego z członków swoich, doświadczonego patryotyzmu. Jedno z tych kółek już egzystowało w uniwersytecie, a że posiadałem zaufanie niemałej liczby kolegów, Szymański zachęcił mnie do utworzenia drugiego kółka, zalecając wszelakoż jak największą ostrożność w wyborze członków.

Niebawem plan, podany mi przez Szymańskiego, został doprowadzonym do skutku: pod pozorem zabawy koleżeńskiej zbierała się od czasu do czasu w mieszkaniu mojem pod Złotym Orłem (naprzeciw kościoła św. Krzyża) garstka akademików i podchorążych, między innymi: Gancz Wincenty i Polański z 1-go pułku piechoty litewskiej, Mazowiecki Anastazy, Czernich Ignacy i Dutkiewicz, podoficer z 3-go pułku strzelców pieszych, Piwowarski, Mazowiecki Onufry, Kobyliński Wincenty, Rzewuski, Rychłowski, Giewartowski, Bacewicz, Słabowski, Kossowski, Wąsowicz i Kruszelnicki.

Wszelkie komunikacye i rozkazy wyższej a nieznanej nam władzy spiskowej dochodziły nas za pośrednictwem Szymańskiego, a dopiero w miesiącu październiku poznaliśmy się z niektórymi członkami pierwszego kółka spiskowego w uniwersytecie, do którego należeli: Szymański Napoleon, Niemojewski Zenon, Nasierowski Walenty, dwaj bracia Lidke, bracia Miączyńscy, Łabęcki Julian itd., które zbierało się w mieszkaniu Szwajcera Michała w pałacu Załuskich.

Podług danego zlecenia zaopatrzyliśmy się — jak kto mógł — w broń sieczną lub palną i czekaliśmy dnia do ruchu. Naznaczono nareszcie [2]) noc z 13-go na 14-ty października. Tego samego wieczora kółko nasze zebrało się w mojem mieszkaniu i tam czekaliśmy na ostateczny rozkaz, który nam Szymański miał przynieść, i wśród spokojniejszej, niż zwykle, gawędy wyglądaliśmy niecierpliwie powrotu naszego pośrednika. Nareszcie już po jedenastej nadszedł Szymański i oznajmił nam, że dla ważnych, choć jemu samemu nieznanych, powodów naczelnicy spisku odroczyli wybuch powstania do dalszego czasu. — „Szaleni! głowy potracili“ — zawołał Anastazy Mazowiecki — „już i tak szpiegi śledzą nas zewsząd, a przez te zwłoki bezustanne sprawa cała niechybnie się wyda i wyłapią nas,

---

[1]) Był to sposób wzbudzenia zaufania w nowozaciężnych spiskowych. Zaraz po wybuchu rewolucyi, t. j. w nocy z 29. na 30. listopada, kiedy napróżno szukaliśmy jenerała Chłopickiego, powinniśmy się byli przekonać o niechęci jego dla rewolucyi.

[2]) Był to już drugi termin.

jak myszy. Co do mnie, nie myślę zginąć bezowocnie, to też wracam natychmiast do koszar po moją dubeltówkę i z pod filarów Towarzystwa Przyjaciół Nauk jeszcze tej nocy księciu w łeb strzelę.“

— „Tem właśnie“ — zawołałem — „mógłbyś zwichnąć całą sprawę naszą. Zaklinam cię przeto, mój drogi Anastazy, abyś ani myślał o podobnym zamiarze. Wszakże dotąd nie masz jeszcze nic straconego; uspokój się i pamiętaj, że nie wolno żadnemu z nas działać samopas.“ Uwaga moja, silnie poparta przez obecnych, uspokoiła Mazowieckiego i w kilka chwil potem wszyscy się rozeszli z postanowieniem czekania dalszych rozporządzeń.

Schadzki w mojem mieszkaniu zwróciły na siebie uwagę jednego z inspektorów uniwersytetu i skłoniły mnie do przeprowadzenia się do ciasnej, ciemnej ciupy na Tamce. Tam zabawy koleżeńskie zostały zupełnie przerwane, ale tem gorliwiej zająłem się z kilkoma kolegami laniem kul i przysposobieniem broni.

Tymczasem z żalem spostrzegliśmy, że jeden ze związkowych naszego kółka, Kruszelnicki (uczeń długoletni na wydziale medycyny), oddawał się z coraz większą zapamiętałością szulerstwu i rozpuście. Nie brakowało przestróg i rad z naszej strony, ale zostały bezowocne. Uważałem nawet, że pomimo chwilowej — widocznie udanej — wesołości dręczyła go jakaś wielka niespokojność. Nagle 7-go listopada znikł nam zupełnie z oka; ale nie poszukując powodów tej nieobecności, przypisaliśmy ją konieczności, w której Kruszelnicki musiał udać się do Modlina w celu wyproszenia od ojczyma pieniędzy na zaspokojenie długów.

Dnia 11-go listopada doszła mnie wieść o aresztowaniu Gancza i Polańskiego (z 1-go pułku p. l.) i kilku podoficerów z 3-go pułku strzelców pieszych. Ostrzegłem o tem bezzwłocznie kilku kolegów, a przeczuwając, że policya pochwyciła jakąś nić spisku, już zacząłem przemyśliwać o opuszczeniu Warszawy i ucieczce do Prus, ale niepewność prawdziwych powodów aresztu naszych przyjaciół, a z drugiej strony obawa utwierdzenia przez ucieczkę moją władzy w domysłach jej, zatrzymały mnie na miejscu.

Nazajutrz w piątek 12-go listopada około godziny 10-tej wezwano mnie do inspektora jeneralnego uniwersytetu, Adryana Krzyżanowskiego. Zapytania jego o częstych schadzkach młodzieży akademickiej w mem mieszkaniu, o ich celu, rozmowach toczonych i t. p., przekonały mnie, że rząd domyślał się egzystencyi jakiegoś spisku; ale bynajmniej nie przypuszczałem jeszcze, jak dalece szczegóły jego były mu znane. Po krótkim protokole inspektor mi oznajmił, że muszę tymczasem pozostać pod aresztem uniwersyteckim

i kazał bedelowi zaprowadzić mnie do pokoju blisko kancelaryi, zkąd dosłyszałem na kurytarzu znane głosy kilku kolegów. Przyniesiono mi obiad ze stołu rektorskiego, czy też z traktyerni, a wieczorem około godziny 6-tej przywołano mnie do protokołu do sali obrad senatu uniwersyteckiego. Ujrzałem naokoło stołu: zacnego rektora, ks. Szwejkowskiego, powszechnie kochanego sekretarza uniwersytetu, Kazimierza Brodzińskiego, Adryana Krzyżanowskiego i kilku innych profesorów; prezydował zaś kurator uniwersytetu, Maksymilian Fredro.

Po ogólnych kwestyach, jakie mi już tegoż samego rana inspektor zadał: czy słyszałem o mającym wybuchnąć rozruchu? o przygotowaniach do niego, o celu częstych schadzek w mojem mieszkaniu itp., zapytano mnie nagle, dlaczego zaprosiłem do siebie kilkunastu kolegów i znajomych na wieczór dnia 13-go października? Odrzekłem, że nie pamiętam, czy miałem kogo u siebie tego wieczora; a jeżeli tak było, to pewno zebraliśmy się dla wesołej pogadanki. — „Napróżno się pan taisz“ — zawołał kurator — „wiadomo nam bowiem, że zebraliście się w nadziei jakiegoś zaburzenia, które miało nastąpić tej nocy, a pan dla zachęcenia kolegów do udziału kazałeś przynieść kosz piwa i częstowałeś ich później ponczem. Kiedy zaś wam doniesiono, że rozruch został odroczonym, podoficer z 3-go pułku strzelców pieszych, Anastazy Mazowiecki, uniesiony gniewem i przepowiadając, że zwłoka podobna naraża spiskowych na zgubę, odgrażał się, że tej samej nocy zaczai się z dubeltówką pod filarami domu Towarzystwa Przyjaciół Nauk i zabije Jego Ces. Mość W. Księcia Konstantego w chwili, kiedy o północy będzie tamtędy przejeżdżał. Pan zaś zamiast odradzić mu przedsięwzięcia tak zbrodniczego, utwierdzałeś go w tym niegodziwym zamiarze.“ — „Być może“ — odpowiedziałem — „że w ciągu rozmów rozmaitych któryś z kolegów moich wspomniał, że podług ostatnich nowin, krążących po Warszawie, może tej nocy (t. j. 13. października) nastąpi ruch jakiś; ale nie zwróciłem na to uwagi, zwłaszcza, że podobne wieści głuche dawały się codziennie słyszeć po kawiarniach. Piwa i ponczu kazałem przynieść, ponieważ nie miałem zwyczaju przyjmować gości na sucho; ale jest fałszem, abym tym sposobem miał ich zagrzewać do udziału w jakiemś urojonem powstaniu. Równie szkaradnym wymysłem jest, aby się Anastazy Mazowiecki kiedykolwiek odgrażał na życie W. Księcia albo kogokolwiek w mej obecności. Nie przypuszczam, aby myśl podobna mogła powstać w jego szlachetnym charakterze. Gdyby się zaś objawiła, to zamiast zachęcać go do takiej zbrodni niesłychanej, był-

bym sobie uważał za święty obowiązek użyć sił wszelkich, aby go odwieść od niej, albo mu przeszkodzić w dokonaniu jej.“

Zadzwonił kurator na bedela i zawołał donośnym głosem: „Przywołaj p. Kruszelnickiego“. — Dreszcz mnie przejął na to nazwisko, albowiem wskazało mi zdrajcę i całą przepaść, w jaką nas popchnął. W mgnieniu oka wszelakoż samo uczucie niebezpieczeństwa przywróciło mi całą przytomność. Kiedy więc wszedł Kruszelnicki, wymokły i blady, jak trup, i kazano mu usiąść naprzeciwko mnie, wlepiłem w niego wzrok tak surowy, że znieść go nie mógł. — „Czy pan byłeś wieczór 13-go października u p. Bartkowskiego?“ — „Byłem“. — „Czy Bartkowski był obecny, kiedy podoficer Mazowiecki odgrażał się, że przyczai się tej samej nocy pod filarami gmachu Towarzystwa Przyjaciół Nauk w celu zabicia J. C. M. W. Księcia Konstantego?“ — Tu Kruszelnicki zwrócił drgającą twarz ku mnie, a spotkawszy ten sam wzrok pełen oburzenia i wzgardy, drżącym głosem jęknął: „Nie — nie wiem, czy był wtenczas obecny, ale zdaje mi się.“ — „Cóż to się znaczy?“ — zawołał gniewnie ksiądz Szwejkowski — „w raporcie swoim pan utrzymujesz, że p. Bartkowski utwierdzał podoficera Mazowieckiego w zbrodniczym zamiarze, a teraz nie pamiętasz nawet, czy był przytomny tej pogróżce. Któż tu może wierzyć panu. Idź pan na ustęp.“ — Po tym gniewnym wykrzykniku zacnego rektora poznałem ukontentowanie nad zachwianą wiarogodnością delatora, a odblask tegoż samego uczucia przeleciał także po twarzy Brodzińskiego, który pogrążony w smutku i milczeniu przysłuchiwał się powyższej indagacyi.

Po kilku innych mniej znacznych zapytaniach kurator poprosił mnie do pobocznego pokoju i tam wziąwszy za rękę, z czułością ojcowską (zdaje mi się udaną) zaklinał mnie, abym mu zeznał całą prawdę: szczególnie co do osób, z któremi miewaliśmy komunikacye; że on sam uważa całą tę sprawę, jako dzieciństo, i że, jeżeli zeznaniem otwartem odpowiem na jego zaufanie, otrzyma niezawodnie na audyencyi, na którą miał się tegoż wieczora udać do W. Księcia, upoważnienie do wypuszczenia nas natychmiast na wolność. Odpowiedziałem, że nieraz zdarzyło mi się słyszeć nietylko między młodzieżą uniwersytecką, ale nawet po kawiarniach przypuszczenia o możebności rozruchu jakiegoś w Warszawie, ponieważ rozdanie ładunków ostrych między załogę i inne środki ostrożności władzy wojskowej prowadziły na domysł, że rząd musi mieć ważne do tego powody. Zresztą, że nie miałem w Warszawie ani znajomości, ani komunikacyi z żadnemi osobami, prócz kilku kolegów uniwersyteckich i ich braci albo krewnych, będących w wojsku. Że

schadzki nasze ograniczały się albo na obojętnej rozmowie, albo na wesołej zabawie, a nie miały bynajmniej celu politycznego, jaki im fałszywie przypisywano.

Opuścił mnie kurator nie bardzo zadowolniony, a wkrótce potem turkot odjeżdżającego powozu kazał mi się domyśleć, że udał się na audyencyę do W. Księcia. Inni zaś członkowie senatu uniwersyteckiego czekali jego powrotu: niektórzy pewno w nadziei, że przywiezie rozkaz uwolnienia oskarżonej młodzieży. Co do mnie, nie spodziewałem się bynajmniej, aby nas wypuszczono. Tak też się i stało. Może około godziny 10-tej nadjechał powóz; ale zamiast mnie uwolnić, bedel Głowacki z zasmuconą twarzą wezwał mnie, abym mu towarzyszył do jednej z sal uniwersyteckich i tam mnie zamknął na noc.

Nazajutrz wezwany powtórnie do sali senatu uniwersyteckiego, zastałem tam prócz kuratora, rektora, sekretarza i inspektora, trzech jenerałów: Rożnieckiego, Rautenstraucha i Potockiego Stanisława. Powtórzono mi też same pytania co dnia poprzedniego, a ja dałem też same odpowiedzi. Nie przywołano wszelakoż Kruszelnickiego na konfrontacyę.

Wieczorem przeprowadzono mnie na noc do sali, gdzie prof. Bętkowski wykładał historyę, i tam znalazłem własny materac, poduszkę i kołdrę, które mi ze stancyi mojej przyniesiono. Przepędziłem tam cały następny dzień, a że to była niedziela, nie miałem nawet rozrywki widzieć przechodzących akademików.

Dnia 15-go w poniedziałek wieczór przeprowadzono mnie z gmachu uniwersyteckiego do klasztoru św. Krzyża i tam mnie w jednej z cel zamknięto. Po stąpaniu na kurytarzach i skrzypieniu kluczy domyślałem się, że przeprowadzono zarazem i innych kolegów moich. Przekonałem się później, że domysł ten był prawdziwy. Byliśmy wszelakoż tak porozdzielani, że nie można było komunikować się jednemu z drugim; ani też szukałem sposobności do tego przez obawę zdradzenia się. Usługiwała nam jeszcze służba uniwersytecka; tylko kiedy mi się zdarzyło przy wejściu bedela rzucić okiem na kurytarz, spostrzegłem jakiegoś człowieka z odrażającem piętnem policyjnego siepacza. Podobnegoż nadzorcę spostrzegłem czatującego albo w bramie, albo też przy drzwiach klasztoru.

Tam mnie zostawiono przez tydzień cały bez wezwania do protokołu. Nie cierpiałem nudów, ponieważ dostarczono mi, zdaje się, z księgozbioru rektora kilka książek. W poniedziałek 22-go listopada wieczór, właśnie kiedy po zgaszeniu świecy rozmyślałem nad przeczytanym co tylko wierszem Krasickiego: „Święta miłości ko-

chanej Ojczyzny!" — zaskrzypiał klucz we drzwiach i wszedł do celi komisarz policyi z latarką, a za nim olbrzymi policyant. Wezwał mnie, abym mu towarzyszył, a na zapytanie „dokąd?" — odrzekł, że tego powiedzieć nie może. Nimem się ubrał, policyant zwinął pościel i przeniósł ją na dół. Przed bramą klasztorną zastaliśmy zamkniętą dorożkę, do której wsiadł ze mną komisarz z policyantem, a drugi z pościelą usiadł obok woźnicy. Powietrze było mgliste, a ulice Warszawy zdawały mi się zupełnie puste i nadzwyczaj ponure. Zrazu nie wiedziałem, dokąd mnie wiozą; ale skoro dorożka się skierowała przez plac Bankowy na Leszno, wątpliwość wszelka ustała. Zatrzymaliśmy się przed Karmelitami, gdzie na dany znak otworzyła się furtka, i wprowadzono mnie do obszernej sieni, służącej za odwach. Tu mnie komisarz przedstawił komendantowi więzienia, kapitanowi z kwatermistrzostwa, Niewodowskiemu, i sam z grzecznością, zdawałoby się, urągliwą pożegnał się ze mną. Kapitan Niewodowski przyjął mnie bardzo uprzejmie; kazał pościel zanieść na drugie piętro pod numer 25-ty [1]) i sam mnie tam w asystencyi odźwiernego odprowadził [2]). Zażądał, abym złożył na ręce jego pieniądze oraz nóż lub scyzoryk, jeżeli jaki mam przy sobie, i opuścił mnie, poleciwszy odźwiernemu, aby wrócił po świecę, skoro się rozbiorę.

---

[1]) W tej samej celi siedział w 1825 r. oficer od saperów, Sabiński. Podług powszechnej wieści został tam struty i w ostatniej chwili konania głośnem wołaniem przestrzegł innych więźniów o przyczynie śmierci.

[2]) Przy samem wejściu do więzienia był w sieni obszerny odwach, a dalej rozmaite pół ciemne i wilgotne dziury, gdzie po rewolucyi 29-go listopada znaleziono w jednej z nich powrozy przedzierzgnięte przez belkę. Ponieważ to nie była stajnia, ani szlachtuz, domyślano się, że to było miejsce tortur tajnych, a nawet i egzekucyi. Prawda co do tych domysłów nigdy nie została wyświeconą, ponieważ komisya, wyznaczona do przejrzenia papierów policyi tajnej, idąc za przykładem a może nawet z natchnienia zbyt łagodnych władz rządu rewolucyjnego, mitrężyła długo, zamiast oddać wszystkich szpiegów pod sąd doraźny, — a nawet nie pociągnęła kap. Niewodowskiego i jego siepaczy do zeznania faktów, które dokonane zostały w więzieniu karmelickiem od roku 1825 do 30. Na pierwszem piętrze jeden kurytarz był zajęty przez cele więzienne, a drugi prowadził do sali indagacyjnej i mieszkania komendanta. Drugie zaś piętro było całkiem przeznaczone dla więźniów. Warta, składająca się z plutonu piechoty, zmieniała się co wieczór, ale komendę nad nią mieli na przemianę dwaj oficerowie z poniżonego policyjnego batalionu weteranów czynnych, z których jeden dość otyły i z twarzą trędowatą musiał być pijakiem; drugi nieco wyższy i wejrzenia przyjemnego, widocznie dopiero co przeniesionym został do weteranów, albowiem nosił jeszcze mundur pułku strzeleckiego.

Położyłem się też niebawem i zostawiony w ciemności, rozmyślałem nad stanem moim.

Wśród rozmyślania tego usłyszałem kilkakrotnie stąpanie na kurytarzu. Zwożono widocznie innych więźniów, ale żadnego nie osadzono w celi pobocznej. Później się przekonałem, że istotnie dla zapobieżenia wszelkiej komunikacyi poprzedzielano nas — o ile to było możebnem — pustemi celami.

Nazajutrz zaledwie wstałem, odwiedził mnie oficer od warty, zapytał o zdrowie i rzuciwszy okiem naokoło, zostawił mnie z posługaczem, który mi przyniósł kawę i zaczął w piecu napalać, ale dym tak gęstymi kłębami wkrótce przepełnił celę, że pobiegł do kapitana Niewodowskiego i za jego zezwoleniem wypuścił mnie na kurytarz, gdzie musiałem tak długo stać na jednem miejscu, dopóki przeciąg nie rozpędził owego dymu. Dla bezpieczeństwa wszelako postawiono obok mnie dodatkowego szyldwacha. Widać i w celi ostatniej była jakaś niedogodność, ponieważ z kurytarza ujrzałem kolegę mego, Michała Szwajcera[1], stojącego na progu drzwi otwartych. Natychmiast wszelako kazano mu się cofnąć.

Zostawiono mnie w tej celi przez dwa dni; że zaś w czasie zapalania w dymiącym się piecu musiano mnie każdego rana wypuszczać przynajmniej na godzinę, przeprowadzono mnie we czwartek rano do celi pobocznej. W piątek zaś około godziny 11-ej kapitan Niewodowski zaprowadził mnie do sali indagacyjnej na pierwszem piętrze, gdzie mi kazano siąść przy końcu długiego stołu, przy którym siedzieli jenerałowie: Rożniecki, Rautenstrauch i Stanisław Potocki, kurator uniwersytetu, Maksymilian Fredro, inspektor Adryan Krzyżanowski, inkwirent śledczy i jego pisarz.

Snać dla formalnego zadośćuczynienia przywilejowi, służącemu uniwersytetowi w rozpoznawaniu zarzutów, czynionych jego uczniom, przyzwano i tu jeszcze, jako świadków legalnego procederu, dwóch wyżej wymienionych dygnitarzy wszechnicy warszawskiej: szanowano ich jako znakomitych pisarzy i poważano nawet jako dobrych Polaków.

Wezwany przez prezydującego w tej komisyi, Rożnieckiego, abym dyktował pisarzowi inkwirenta, cokolwiek mi wiadomo o spiskach, mających na celu zaburzenie publicznej spokojności, odrze-

[1]) Szwajcer zajmował celę, w której w r. 1825 więziono księdza Dębka, Karmelitę, i gdzie go może zamordowano, choć policya rozpuściła wieść, że ksiądz Dębek w chwili, kiedy go golono, nagle wyrwał golarzowi brzytwę z ręki i przerżnął sobie gardło.

kłem, że nie mając żadnej wiadomości o podobnym spisku, nie mogę zadosyć uczynić takiemu żądaniu, lecz gotów jestem odpowiedzieć na wszelkie pytania, któreby mi chciano zadać. Zgodzono się na to i rozpoczęto indagacyę mniej więcej w ten sam sposób, jak dnia 13-go listopada, tylko z większymi szczegółami i przeskakując nagle do pytań na pozór obojętnych o rozmowach potocznych akademików, w celu widocznym zamącenia mi głowy. Odpowiedzi moje były też same, co na dwóch poprzednich indagacyach.

Z pomiędzy członków komisyi jeden tylko Rautenstrauch czynny brał udział w tem śledztwie i uważnie podsuwał inkwirentowi coraz nowe pytania. Rożniecki zaś bawił się przez cały czas sztabką laku, który rozgrzewał w ręku i przeginał w różne kształty. Zresztą siedział z zmrużonemi oczyma, jak stary kot, i tylko dwa czy trzy razy przebąknął kilka wyrazów [1]). Przeczytano mi w końcu protokół i kazano mi go podpisać. W dobrej wierze podpisałem. dopiero później przyszło mi na myśl, że ów pisarz pewno był członkiem policyi i może z polecenia wyższego przeczytał wcale co innego od tego, co napisał.

Na odgłos dzwonka prezesowskiego wszedł kapitan Niewodowski i odprowadził mnie, wziąwszy grzecznie pod rękę (pewno z obawy, abym mu z pierwszego piętra nie wyskoczył na ulicę) do mej celi. Nim mnie opuścił, przypomniałem mu daną poprzednio obietnicę i prosiłem o jakąkolwiek książkę do czytania. Zapewnił mnie, że o tem nie zapomni, a przecież skłamał, ponieważ w sam dzień rewolucyi z rana, kiedy posługacz, proszony przezemnie o przypomnienie kapitanowi danego przyrzeczenia, mówił mu o tem na kurytarzu blisko mej celi, dosłyszałem przez drzwi: „Mniejsza o to, że żąda książek, nie zważaj na to, a jeżeli się będzie napierał, to mu daj starą książkę do nabożeństwa, która jest w moim pokoju.“ Nie ujrzałem też żadnej książki. Dopiero wieczorem tegoż dnia, kiedy ów porucznik w mundurze strzeleckim podług zwyczaju, zdając służbę drugiemu oficerowi od weteranów, wstąpił z nim do mej celi, spostrzegłem w ręku jego broszurkę cienką i prosiłem go, aby mi ją zostawił na ten wieczór. Zrazu się wahał, lecz kiedy mu powiedzia-

[1]) Między innemi zapytano mnie, co mówiono między młodzieżą o usposobieniu Litwy i Wołynia na przypadek jakiego rozruchu. — „Nie słyszałem żadnych rozmów o zabranym kraju“. — „Cóż to pan rozumiesz przez zabrany kraj?“ — zapytał pół gniewnie, pół z zadziwieniem Rautenstrauch. — „Zapewne odpadłe prowincye“ — odpowiedział za mnie Rożniecki i z tą poprawką kazał protokoliście zapisać moją odpowiedź.

łem, że kapitan Niewodowski przyrzekł dostarczyć mi co do czytania, dał mi ową broszurkę. Była to rozprawka z 16 stronic, zdaje mi się przez Biernackiego, o sposobie stawiania mieszkań włościańskich z dachem wewnętrznie i zewnętrznie zabezpieczonym od pożaru. Zaiste, nigdy nie czytałem dzieła z takiem zajęciem, jak ową rozprawkę o architekturze wiejskiej. Przeczytałem ją w przeciągu godziny trzy razy i byłbym ją może jeszcze tyle razy przeczytał, gdyby się nie dopaliła nędzna łojówka groszowa, którą mi co wieczór na oświetlenie mej celi przynoszono. Pogrążony w ciemności, dumałem sobie nad sposobami polepszenia bytu poczciwego ludu wiejskiego i nad szlachetnemi w tym celu usiłowaniami Staszyca i kilku innych — niestety zbyt mało licznych — obywateli, które dotąd tak mało znalazły naśladowców, kiedy nagle uderzony zostałem nadzwyczajnym turkotem licznych dorożek czy powozów, pędzących przez Leszno, i spostrzegłem zarazem jasne światło na niebie. Zerwałem się i ubrawszy się co tchu, wlazłem na stolik, przygwożdżony pod oknem, aby odkryć powód tej łuny. Napróżno się siliłem: w przeklętej drewnianej zasłonie za oknem nie było najmniejszej szpary. „Boże wielki!“ — westchnąłem — „gdyby to było hasło do powstania!“ W tej nadziei postałem jeszcze kilka chwil na stole z wlepionemi w niebo oczyma, ale że łuna[1]) zdawała mi się nieco zmniejszać — choć jeszcze dochodził mnie z oddalenia odgłos jakiegoś huku — pomyślałem, że to pewno tylko pożar zwyczajny, i z żalem wróciłem do łóżka. Zaledwie atoli przeleżałem jaki kwadrans, aż tu nagle huk nierównie silniejszy daje się słyszeć z przeciwnej strony więzienia. Były to strzały, padające ze strony warty więziennej i ze strony ludu, dobijającego się do Karmelitów, ale w zakrętach zabudowań klasztornych tak dziwnie się odbijały, jak gdyby taranem w mury bito. W mgnieniu oka stanąłem na nogach ubrany, a serce mi biło jak obuchem. „Pewno pożar wybuchnął w samym klasztorze“ — pomyślałem sobie — „i kto wie, czy nas nie chcą zagrzebać w gruzach tego pogorzeliska.“ Szarpnąłem więc za dzwonek i kiedy nadbiegł posługacz, żądałem, aby mi natychmiast drzwi otworzył. — „Nie wolno, panie!“ — „Skądże ten straszny huk?“ — „To pożar w mieście“ — i odrzekłszy to, pobiegł do innych drzwi, ponieważ równocześnie ze wszystkich cel dzwonki się odzywały. Nie odstępując już od drzwi, przyłożyłem ucho do nich i dosłyszałem, że obu szyldwachów z drugiego piętra ściągnięto.

[1]) Był to pożar domu, który w pierwszej chwili powstania podpalono na Nalewkach.

Niezawodnie, pomyślałem sobie, albo pożar straszny już ogarnia więzienie, albo też jest powstanie — i zacząłem pięścią bić w mur poboczny, pytając sąsiada, co to wszystko znaczy. „Nie wiem“ — odezwał się znany mi głos Juliana Łabęckiego, a w tej samej chwili z hukiem, jakby wystrzału armatniego, usłyszałem grzmiący okrzyk: „Niech żyje Polska! Bracia Polacy! wolni jesteście!“ — i masa ludu, jak powódź, z szybkością błyskawicy rozlała się po obszernem więzieniu. — Na odgłos: „Niech żyje Polska!“ — wyciąłem pięścią na odlew tak silnie we drzwi, że wierzchnia szyba drewniana jak szkło prysnęła. Odwróciłem się na krok, aby i dolną część nogą wybić, ale w tejże samej chwili ktoś kolbą czy drągiem całe drzwi wywalił. Boże Wszechmocny! co też to za błoga chwila była! Pióro niezdolne opisać, co wówczas uczułem. W owych kilku sekundach, kiedy nas biednych więźniów z uniesieniem ściskali koledzy i zacni rzemieślnicy warszawscy, więcej doznałem szczęścia, aniżeli w całym ciągu życia mojego.

Więckowski, uczeń wydziału prawnego, wcisnął mi pałasz w rękę. Porwałem płaszcz i kapelusz i wraz z wybawcami naszymi śpiesznie schodziliśmy na dół. Na pierwszem piętrze spotkaliśmy zbladłego i chwiejącego się na nogach komendanta więzienia, kapitana Niewodowskiego, któremu przy szturmie kula lewe ramię przeszyła [1]). Widać więcej ze strachu, aniżeli z miłości ojczyzny, zawołał

---

[1]) Własnoręczny opis ataku na więzienie karmelickie, sporządzony przez F. Eizenberga, naówczas podoficera 4-go pułku piechoty:

Dnia 29-go listopada 1830 r. kapitan Wodzyński, dowódzca kompanii 1-ej grenadyerskiej pułku 4-go p. l., wyznaczył ze swej kompanii mnie i dwóch innych podoficerów: Boryckiego i Kaczmarka z dwudziestu kilku żołnierzami na wartę do więzienia u Karmelitów na Lesznie. Przybywszy na przeznaczone miejsce, znaleźliśmy tam kapitana ze sztabu, komendanta więzienia, którego nazwiska nie przypominam sobie, który sam był obecny przy rozprowadzaniu poczt; przy każdej celi *) postawiony był szyldwach; mieliśmy każdy po 12 ładunków, które zresztą już od kilku miesięcy posiadaliśmy. Około godziny 5-ej przybył oficer od weteranów, którego nam podpułkownik nasz, Czajkowski, kazał uważać za komendanta.

Po godzinie 7-ej szyldwach, stojący przy ogrodzie, woła do nas, że słychać jakiś huk w mieście i że się pali. Kapitan, komendant więzienia, wysyła na zwiady do miasta żandarma konnego, ten wkrótce powraca i oznajmia, że jest pożar i bunt w mieście koło arsenału. Wtedy kapitan ten sam komenderuje: do broni, a potem: nabij broń!

*) Widoczna omyłka. Zamiast „przy każdej celi“ p. Eizenberg pewno chciał powiedzieć: „na każdym kurytarzu“.

słabym głosem: „Niech żyje Polska!“ O kilka kroków od niego jakiś rzemieślnik trzymał owego oficera od weteranów, z trędowatą twarzą, za gardło i przyparłszy go do muru, wołał, aby mu który z nas w łeb palnął. — „Dajcie mu pokój, to pijaczyna, który Bogu duszę winien“ — zawołał któryś z więźniów i uratował biedakowi życie.

Zdaje mi się, że w pięć minut po wywaleniu bramy więzienie całe było pustem. Więźniowie, lud i garstka żołnierzy, pozostałych z warty, ruszyli razem ku arsenałowi. Nimeśmy doszli do Tłomackiego, spotkaliśmy patrol z gwardyi strzelców konnych, ale nas nie zaczepił. Zdawało nam się też, że pułk ten popierał powstanie, gdy tymczasem było wcale inaczej.

Wpadliśmy do arsenału, już zajętego przez czwarty pułk piechoty, i uzbroiliśmy się w karabiny i bagnety. Wiarusy dali nam po kilka ładunków i nie tracąc czasu, ruszyliśmy do więzienia Marcinkanek pod przewodnictwem jakiegoś akademika, jadącego przed nami na małej szkapinie kozackiej. Jeżeli tam była poprzednio warta, to widać już ściągniętą została. Znalezliśmy tylko bramę wewnętrzną podwórza zatarasowaną, a na wezwanie, aby ją otworzono, nikt nie odpowiadał. Tymczasem Rychłowski wpadł do stajni obok bramy, wdrapał się do wysokiego małego okienka i ujrzał jakiegoś draba, podpierającego wewnątrz bramę drągiem. Wystrzałem z pistoletu takiego strachu mu napędził, że natychmiast uciekł i gdzieś się zanurzył. Wysadziliśmy bramę i przetrzęśliśmy więzienie, ale znaleźliśmy w niem tylko Wincentego Kobylińskiego i jakiegoś, zdaje się, żyda niemieckiego. Pierwszy z przerażenia tak osłupiał, że zrazu wahał się opuścić więzienie.

W kilka minut przybywa kilkunastu cywilnych z siekierami, oskardami a niektórzy z fuzyami, krzycząc: „wypuścić więźniów“, potem wzięli się do muru i do wyrąbania dziury w wielkich wrotach. Ja zacząłem rewidować szyldwachów, a idąc powoli i zamyślony na pierwsze piętro, spotykam schodzącego na dół kapitana. W tej chwili ktoś strzelił z domu z drugiej strony ulicy, kula przechodzi przez okno i trafia go w lewe ramię; uchwycił się za takowe, mówiąc: „ranny jestem“, odpasuje pałasz i rzuca na ziemię. Po obejrzeniu poczt schodzę na dół; dziura już była w bramie wyrąbana i zaczęto już strzelać do siebie. Żołnierz Majchrzyk, śmiertelnie ranny, umiera w kilka godzin. Nadaremnie szukamy oficera od weteranów i odźwiernego. Wtedy zbieram poczty i sprowadzam wszystkich na małe podwórko przy ogrodzie, kilku żołnierzom, co się wdrapali przez pompę na mur, kazałem zejść, aby się nie osłabić, słysząc, że brama już wybita. Cywilni wpadają hurmem na kurytarz i później na nasze podwórko, krzycząc, gdzie są więźnie? my odpowiadamy, że na górze. Uwalniają ich, my tymczasem opuszczamy wszystko i oddalamy się. *Eizenberg.*

Wróciliśmy przez plac zamkowy i ulicę Senatorską do arsenału, gdzie — że tak powiem — był punkt centralny ruchu rewolucyjnego. Tam ujrzałem kolegę uniwersyteckiego, Chałgasiewicza, w kapeluszu stosowanym jen. Trębickiego, który wolał pozostać wiernym sługą cara, aniżeli dobrym synem ojczyzny. Ciało jego leżało w rynsztoku naprzeciwko arsenału. Tu się zarazem dowiedziałem o zdradzieckich zabiegach jen. Potockiego Stanisława i o zamachu jego na życie mego przyjaciela, Szymańskiego.

Kiedyśmy śpieszyli od Karmelitów do arsenału, Napoleon Szymański, zatrzymany przez jakiegoś znajomego przy skręcie z Leszna na Tłomackie, pozostał tam przez kilka chwil obok kompanii piechoty, zajmującej to stanowisko. Nagle nadjeżdża jenerał Potocki z żandarmem i kozakiem, w celu zapewne oszołomienia wojska naszego przy arsenale, jak mu się to, dzięki jego reputacyi dobrego patryoty, już było udało z kompaniami wyborczemi strzelców, które, zamiast poprowadzić na pomoc szkole podchorążych przeciw Rossyanom, powiódł w matnię do Belwederu. Zaledwie dostrzegł Szymańskiego, poznał w nim jednego z więźniów klasztoru karmelickiego i krzyknął do żandarma: „Łap mi tego łajdaka!“ Szymański osłupiał na taką bezczelność i zamiast się schronić za żołnierzy, chciał przeskoczyć przez sztachety żelazne, otaczające ogródek przed hotelem wileńskim. Nim to zdołał uczynić, żandarm wpadł na niego i tak głęboką zadał mu ranę pałaszem w prawe ramię, że przez kilka miesięcy z trudnością mógł władać prawą ręką, choć go ten szwank nie wstrzymał od walki za ojczyznę.

Potocki, widząc zdziwienie żołnierzy i przewidując skutki ich oburzenia, zwrócił natychmiast konia ku bankowi i tam, chcąc złudzić kompanię wyborczą 5-go pułku piechoty litewskiej, znalazł zasłużoną śmierć zdrajcy z rąk własnych rodaków.

Około północy gwardyą artyleryi naszej z armatami i zapalonymi lontami przeszła pod arsenałem ku placowi Krasińskich i rozstawiła swe działa na przyjęcie Rossyan, gdyby się kwapili posunąć w środek miasta. Ukazanie się artyleryi dodało nam wiele otuchy, to też przywitaliśmy ją radosnymi okrzykami.

Tymczasem liczba młodzieży i ochotników różnego stanu wzrastała coraz bardziej. Poformowano liczne oddziały i wysyłano je jako patrole przeciw gwardyi szasserów, która, uwiedziona przez swych dowódców, zwłaszcza jen. Kurnatowskiego, posuwała swe podjazdy śmiałe aż na Krakowskie przedmieście i plac Saski.

Idąc z jednym z tych patrolów przez Marywil ku Zygmuntowi, spotkaliśmy kompanie wyborcze 8-go pułku, które szły z Wierzbowej

ulicy w tym samym kierunku. Zaledwieśmy się wysunęli na Miodową ulicę, kiedy wraz z hukiem działa jeden z trzech żołnierzy, idących przedemną na szpicy, padł jakby wpół przecięty kulą armatnią. Wystrzał ten był skutkiem pomyłki, jak mi mówiono później; na zawołanie czyjeś na placu Krasińskich, że kirassery zbliżają się Miodową ulicą, porucznik Łabanowski kazał dać ognia.

Noc przeszła na patrolowaniu, szczególnie w stronę Nowego Świata i Dzieciątka Jezus, gdzie gwardya strzelców konnych zaciekle chwytała mieszkańców, którzy się ważyli wyjść na ulicę, i odprowadzała jeńców do Księcia Konstantego. Wysyłano zarazem deputacye do szukania jen. Chłopickiego, aby objął naczelne dowództwo nad powstaniem, ale szukano go nadaremnie. Tak więc powstanie, zostając przez tę pierwszą noc bez naczelnego kierunku, nie wsparte jeszcze przez lud warszawski, tylko po większej części przez młodzież, kupiło się instynktowo głównie około arsenału, dokąd też sprowadzono zrazu przyaresztowanych oficerów rossyjskich.

Dziwna rzecz, że pomiędzy oficerami znakomitymi poświęceniem, jak Wysocki, Szlegel, Antoni Dobrowolski, Stolzman, Nowosielski i tylu innymi, nie znalazł się ani jeden, któryby podał myśl wzniesienia bezzwłocznego barykad na głównych ulicach, któremi Rossyanie, idąc za przykładem Zielonki i jego szasserów, mogli lada chwila wkroczyć w środek miasta. Siły ich były nierównie znaczniejsze od naszych, a lud warszawski, jakkolwiek patryotyczny, nie będąc uprzedzonym o ruchu, nie wziął w nim w pierwszych chwilach takiego udziału, jak w 1794 r. pod pszewodnictwem Kilińskiego. Kto wie, jakiby obrót rzeczy wzięły, gdyby W. Książę Konstanty był poszedł za radą Rożnieckiego i uderzył bezzwłocznie kilkoma ulicami na środek Warszawy. Szczęściem, że pod wpływem przerażenia tak daiece stracił głowę, że nie potrafił korzystać z pierwszego błędu powstańców.

Z brzaskiem dnia 30. lisfopada ludek warszawski zaczął pomnażać szeregi powstania, które odtąd z każdą godziną silniejsze przybierało rozmiary. Jak to zwykle bywa w podobnych chwilach, wśród mieszkańców ochoczych do poświęcenia się dla oswobodzenia ojczyzny, znalazła się garstka szubrawców, która wyłamała drzwi w kilku szynkach. Nadużycia te nie uchodziły jednak bezkarnie i śmiało można powiedzieć, że w żadnem powstaniu nie było tak mało wybryków podobnych, jak w nocach 29. i 30. listopada Pomimo to śmierć zasłużona kilku szpiegów oraz kilku zaślepionych służalców władzy carskiej, jak jenerałowie: Blumer, Trębicki, Potocki i pułkownik Meciszewski, jak również rozbicie kilku szynków, dało

dziennikom pruskim pochop do bezczelnie kłamliwych baśni o wypadkach w Warszawie, w których usiłowano wystawić nas, jako zgraję rabusiów. Równie z dniem 30. listopada zjawiła się po rogach ulic owa odezwa Rady administracyjnej, zaczynająca się od wyrazów: „Równie smutne, jak nieprzewidziane wypadki wczorajszego wieczora itd.“ Oburzenie przeciw autorom tej odezwy było powszechnem i odnawiało się później przy lada sposobności w utarczkach politycznych emigracyi. Daleką jest odemnie myśl podejrzywania patryotyzmu ludzi tak doświadczonego poświęcenia, jak książę Adam Czartoryski, jenerał Pac i Niemcewicz. Chwilowe tylko przerażenie skłoniło tych pod wszelkim względem zacnych obywateli do ułożenia tej odezwy.

Pierwszy między nimi jenerał Pac czynem zaparł się wyrazów odezwy, którą nierozważnie podpisał. We wtorek (30.) około 9-tej rano ujrzałem go w konfederatce na czele oddziału powstańców jezdnych, nad którym powiewał sztandar dawnej jazdy polskiej, zbliżającego się z ulicy Senatorskiej ku komisyi skarbu. Obok Paca był szef sztabu jego, Wąsowicz. Przed bankiem zsiedli z koni. Ciekawością zdjęty, podbiegłem i ja do wejścia i tam ze zgrozą ujrzałem w poczcie wchodzących do banku zwiędłe, brzydkie oblicze jenerała Rautenstraucha. Nędznik ten, drżący ze strachu, trzymał się literalnie poły jen. Paca i pod jego opieką wsunął się z innymi członkami Rady administracyjnej czemprędzej do gmachu. Od owej chwili nie wiem, co się z nim stało, bom go już nigdy nie zobaczył.

Tymczasem bój się toczył na Nowym Swiecie. Sapery i kompanie grenadyerskie 8-go pułku wyparowali szasserów poza kościół św. Aleksandra. Przed południem walka już ustała; gdzie niegdzie tylko po ulicach, prowadzących ku aleom, padały pojedyńcze wystrzały. Korzystając z tej ciszy, poszedłem z kolegami Kossowskim i Wąsowiczem do gmachu uniwersyteckiego, aby czcigodnemu rektorowi Szwejkowskiemu wynurzyć wdzięczność za okazane nam współczucie w chwili aresztowania naszego i przy pierwszych indagacyach. Zastaliśmy u niego sekretarza uniwersytetu, kochanego Brodzińskiego. Przyjęli nas obaj z rozrzewnieniem, choć w wejrzeniu ich i życzeniach lepszej przyszłości przebijała się obawa co do ostatecznego powodzenia rozpoczętego ruchu.

Następnie połączyłem się z kupką akademików i podchorążych, obozujących wraz z kompanią piechoty pod kościołem Karmelitów na Lesznie.

W godzinę później ujrzeliśmy maszerującą ku nam kolumnę zbrojnych powstańców z wielkim sztandarem. Był to sztandar uni-

wersytecki, a na czele tego batalionu, złożonego z tysiąca akademików i studentów, jechał jako dowódca profesor filozofii, Lach Szyrma. Przyłączyliśmy się do tego zastępu. Podzielono nas na dziesięć kompanii, przydano do każdej instruktorów ze szkoły podchorążych i natychmiast rozpoczęła się musztra na ulicy i na podwórzu karmelickiem.

Wieczorem wiadomość, że Chłopicki objął naczelne dowództwo, powszechną wywołała radość. Cześć patryotycznej młodzieży i ludu warszawskiego dla starego, wsławionego żołnierza napoleońskiego, który raz śmiał czoło stawić szalonym wybrykom W. Księcia Konstantego, upatrywała w nim jakby archanioła, pod którego przewodem naród niechybnie wywalczy swą niepodległość

Tymczasem chwiejność Rady administracyjnej, podejrzany nawet charakter niektórych jej członków i brak zupełny postanowień prawdziwie rewolucyjnych oraz kroków energicznych władzy dla szybkiego zabezpieczenia stolicy, wzbudzały pewne uczucie niepewności, a nawet obawy. Umysły jaśniejsze między spiskowymi, pojmując całą rozciągłość grożącego niebezpieczeństwa, usiłowały zaradzić złemu i utworzyły na ten cel klub patryotyczny. Młodzież zaś akaeemicka, pełna zaufania w wodzu siły zbrojnej i we własnym patryotyzmie, uczyła się musztry od rana do wieczora, a w nocy odbywała wraz z wojskiem służbę obozową i straży bezpieczeństwa.

Tak przeszedł dzień 1-szy grudnia. 2-go popołudniu, nie wiem dlaczego i z czyjego rozkazu, stanęliśmy wszyscy pod bronią i pomaszerowaliśmy na ulicę Miodową. Zaledwieśmy tam stanęli, kiedy jakiś cywilny zjawił się przed frontem i w wyrazach gorączkowych zaczął nam przedstawiać niebezpieczeństwo, na jakie duch wsteczny Rady administracyjnej i bezczynność Chłopickiego narażają, a nawet zdradzają powstanie, gdy tymczasem śmiałem uderzeniem na obóz W. Księcia zdobylibyśmy nietylko znaczny zapas broni, ale chętnych żołnierzy i zakładników.

„Kto to ten mówca?“ — pytam mego pobocznika, porwany ogniem tych dobitnych wyrazów, trafiających do mego przekonania, ale zamiast odpowiedzi usłyszałem tylko wśród wrzawy: „Zdrajca! — na latarnię!“ — i mowca, zagłuszony krzykiem burzliwym młodzieży, znikł mi z oczu. Dopiero w kilka chwil później dowiedziałem się, że to był Maurycy Mochnacki, dawniej więzień polityczny a następnie urzędnik w kancelaryi W. Księcia Konstantego, i że podszczuwaniem nieufności ku Chłopickiemu pewno zamierzał zaszczepić niezgodę między nami. 23

Nie wiedziano wtenczas, w jaki sposób Mochnacki został zmuszonym wejść do służby naszego ciemięzcy, ani też w jakiej intencyi napisał rozprawkę o wychowaniu, którą sobie otworzył drzwi więzienia. Służba jego w kancelaryi książęcej była w oczach młodzieży dostatecznym powodem do podejrzywania jego patryotyzmu. Zresztą tyle razy nasłuchaliśmy się poprzednio, że Polska upadła niezgodą, że sama chęć szczera dźwignienia jej z niedoli popchnęła całą myślącą część narodu, starych i młodych, w drugą ostateczność, t. j. w bałwochwalstwo dla Chłopickiego, którego dawna odwaga w Hiszpanii, a później niełaska Wielkiego Księcia wyniosły w oczach znękanego narodu na bohatera, kiedy w samej rzeczy, jak to swą dyktaturą dowiódł, był tylko dumnym żołnierzem, bez szlachetnego zapału i wyższych pomysłów.

Do tego tłumu bałwochwalców należał i Piotr Wysocki. Bez jego nieszczęsnego oporu szkoła podchorążych, porwana zapałem Mochnackiego i jego bliższych przyjaciół, byłaby stanowczym krokiem nadała inny kierunek ruchowi rewolucyjnemu. Proroczym głosem Mochnacki objawiał swe jasnowidzenie, ale był prorokiem na puszczy. Niejeden z aktorów owego dramatu powiedział później: „Takie było nasze przeznaczenie!“ Tyle wszelakoż jest pewnem, że ślepota, nieśmiałość i niedołęstwo tych, których patryotyzm doświadczony, cnoty obywatelskie i stanowisko socyalne powoływały na sterników narodu, przyłożyły się znacznie do owego przeznaczenia: rzucając nas bowiem pod nogi niechętnemu, nieudolnemu, a pomimo to zarozumiałemu człowiekowi, sparaliżowały siły powstającego narodu i — od samej chwili odrodzenia — gotowały mu jego smutny upadek.

Po owej militarnej przechadzce na Miodową ulicę, wróciliśmy do ognisk naszych na Lesznie.

We czwartek biegały różne wieści o układach, toczących się między W. Księciem a deputacyą, wysłaną do głównej kwatery jego w Wierzbnie.

Wojsko, młodzież i mieszczaństwo warszawskie były gotowe do dalszego boju, ale zapał ten nie znalazł najmniejszego poparcia ze strony nowej Rady administracyjnej, ani Chłopickiego. Nie dziw, że jakaś głucha niepewność co do ostatecznego obrotu rewolucyi zaczęła ogarniać niektóre umysły, kiedy nagle, z brzaskiem dnia 9-go grudnia przybycie jen. Szembeka z połową brygady dało nam przewagę i powiększyło postrach w obozie pod Mokotowem. Marsz 1-go pułku strzelców pieszych przez ulice Warszawy z muzyką pułkową

na czele, grającą „Jeszcze Polska nie zginęła!“, wywołał entuzyazm nie do opisania.

W piętek rano (3. grudnia) rozbiegła się wiadomość, że W. Książę odstępuje od Warszawy i z przyzwoleniem rządu tymczasowego ma się cofać za Bug; część zaś wojska polskiego, przy nim pozostająca albo zatrzymana, oraz więźniowie wojskowi i cywilni, przytrzymani w jego obozie, wracają do Warszawy.

Byłem świadkiem tego powrotu. Witano się z rozczuleniem, ale tłumy ludu patrzały w ponurem milczeniu na przechodzący pułk gwardyi szasserów. Na czele powracającej kolumny postępowało kilku jenerałów. Między nimi Wincenty Krasiński spozierał na widzów z przymilającym się uśmiechem, jokby im chciał dać uczuć, że dawny wsławiony żołnierz napoleoński jest szczęśliwym widzieć się znów w szeregach narodowych. Na twarzy jen. Kurnatowskiego zdawało mi się uważać wyraz rzetelnego smutku.

Ku wieczorowi wezwano z legii akademickiej kilkudziesięciu ochotników, którzyby chcieli towarzyszyć batalionowi piechoty, przeznaczonemu na zajęcie Modlina, gdzie stały zakłady rossyjskie artyleryi, kirassyerów, konnopolców i huzarów. Władysław Zamoyski miał wprawdzie rozkaz, aby te oddziały ustąpiły z fortecy i połączyły się z W. Księciem w pochodzie jego ku granicy; ale nie dowierzając bardzo, aby ten rozkaz został wypełnionym, przeznaczono na pomoc nader szczupłej załodze polskiej w Modlinie dwie kompanie saperów i dwie kompanie wyborcze 7-go pułku lit. oraz kompanię ochotników z legii uniwersyteckiej. Do tej ostatniej zapisało nas się natychmiast trzech więźniów karmelickich: Kossowski Maciej, Wąsowicz i ja, w nadziei, że zdołamy uchwycić w Modlinie zdrajcę Kruszelnickiego [1]) i sprowadzić go do Warszawy na wymierzenie mu zasłużonej kary.

Wyruszyliśmy ze zmierzchem i stanęliśmy około 10-tej w Jabłonnej. Po kilkugodzinnym odpoczynku pomaszerowaliśmy pod dowództwem podpułkownika Chrzanowskiego ku Zegrzowi i stanęliśmy nad ranem nad Narwią. Przy przeprawie rozdano nam po półkwaterku wódki i po kawałku razowego chleba. Od tej chwili szliśmy zgoła bez odpoczynku cały dzień i cała kompania weszła w komplecie do Modlina około 7-mej godziny wieczorem.

---

[1]) Jak nas zapewniono, Kruszelnicki mieszkał od chwili sprzeniewierzenia się swego w ratuszu, czy też gdzieś ukryty pod opieką policyi, z obawy, aby go akademicy nie sprzątnęli, i że w nocy 29-go listopada umknął do Modlina, gdzie ojczym jego był sztabowym lekarzem.

Rossyanie krótko przedtem ustąpili z fortecy. W koszarach ich artyleryi, które kompanii naszej przeznaczono na nocleg, było jeszcze bardzo ciepło i smrodno, a w kącie każdej sali stała beczka z kwasem. Byliśmy strasznie wygłodzeni. Zaledwieśmy też broń złożyli, zgoła wszyscy ruszyli hurmem dla posilenia się do pobliskiej traktyerni. Następnego rana oczyściwszy się, jak można było, Kossowski, Wąsowicz i ja poszliśmy do szpitala wojskowego, aby się widzieć z ojczymem Kruszelnickiego. Wprowadzono nas do pokoju bawialnego, do którego weszła drugiemi drzwiami blada kobieta i zapytała nas, czego sobie życzymy od jej męża. „Chcielibyśmy się dowiedzieć, czy syn pani jest w domu?“ — „Nie, nie, nie ma go“ — wyjąknęła. — „Panowie zlitujcie się! mężu! mężu!“ — i wtem pada, mdlejąc, na kanapę. Przybiegł natychmiast mąż i skoro żona zaczęła przychodzić do siebie, polecił ją staraniu służących, nas zaś zaprosił z sobą do swego biura, gdzie nam otwarcie oświadczył, że domyśla się powodu naszej wizyty. Prosił zarazem, abyśmy mieli wzgląd na stan jego żony, która dopiero od kilku tygodni była po połogu. — „Pasierb mój“ — dodał — „zjawił się u nas nad ranem 30. listopada, ale jako akademik, podejrzany o udział w rewolucyi i o zamiar wywołania podobnego ruchu w Modlinie, został z rozkazu komendanta bezwłocznie osadzonym w kazamacie, a z wyjściem załogi moskiewskiej znikł zupełnie. Wtem weszła matka Kruszelnickiego chwiejącym się krokiem i całując ręce męża wśród łez i żałosnych jęków błagała go, aby ratował jej syna. Widok tej biednej kobiety był istotnie tak rozdzierającym, że bez dalszych próśb usiłowaliśmy uspokoić jej trwogę, zapewniając ją, że nietylko zaniechamy wszelkich poszukiwań, ale nawet przyłożymy się do uratowania jej syna w razie, gdyby został przyaresztowanym przez innych. Z tem zapewnieniem opuściliśmy tę stroskaną rodzinę.

Popołudniu dnia 5. grudnia owa kompania akademików już nie pod jedną komendą, ale małemi kupkami wracała do Warszawy.

Zastaliśmy nasz legion uniwersytecki już nie na Lesznie, ale na placu uniwersyteckim, gdzie każdy z nas wrócił do swej kompanii i w niej odbywał dalsze ćwiczenia wojskowe. Pewna zaś liczba kolegów moich już w pierwszym tygodniu rozjechała się po prowincyi, w celu ożywienia ducha patryotycznego po rodzinnych powiatach i przyspieszenia powszechnego uzbrojenia całej ludności. Uderzyło mnie od razu, że byłoby z większym pożytkiem dla sprawy, gdyby i nas wszystkich rozsypano po różnych pułkach starych,

gdziebyśmy się prędzej wykształcili w wojskowości, aniżeli w musztrach na placu Kazimierzowskim.

To też w kilka dni później udałem się do Góry, gdzie się formowały trzecie dywizyony pierwszej brygady ułanów i tam wstąpiłem jako prosty żołnierz do 4-go plutonu 5-go szwadronu 1-go pułku ułanów. Za moim przykładem przybyli do tegoż szwadronu dwaj koledzy moi uniwersyteccy, Wyżewski i Jakóbowski (Podolanie).

Piąte i szóste szwadrony egzystujących już pułków jazdy składały się wyłącznie ze starych, wysłużonych żołnierzy (nawet niektórych napoleońskich), powołanych na nowo pod broń. Dowódcą dywizyonu naszego był waleczny major, Russyan. Piątym szwadronem dowodził kapitan Lisiecki, odznaczający się słodyczą charakteru i ludzkiem postępowaniem z żołnierzami; szóstym dowodził kapitan Śumorok. Między innymi oficerami przypominam sobie mego bezpośredniego dowódcę, Umienieckiego, Krzyżanowskiego, Skawińskiego, Okęckiego (adjutanta), Strzemiecznego Rajmunda, Szemiota, Cejznera, Borzęskiego Aleksandra i najwaleczniejszego ze wszystkich Mazarakiego.

Na codziennej musztrze pieszej i konnej oraz robieniu pałaszami i lancami upłynęły miesiące grudzień i styczeń. Wieczory schodziły na gawędzie w salach koszarnych (dawniej artyleryi rossyjskiej pod dowództwem jen. Korfa). Przysłuchiwałem się w owych chwilach odpoczynku z wielkiem zajęciem opowiadaniu Majewskiego, mego pobocznika i zarazem karabiniera na lewem skrzydle szwadronu. Wzięty w Hiszpanii do niewoli, zawieziony był do Anglii, gdzie tak mu źle było na pontonach, że wraz z innym Polakiem przyjął proponowaną im służbę w wojsku angielskiem. Wcielono ich obu do 10-go pułku huzarów, konsystującego wówczas w Irlandyi. Niebawem przewieziono cały pułk do Hiszpanii. Skoro atoli stanął na linii bojowej, dwaj Polacy drapnęli i po trzech dniach nieustannej obawy, aby nie wpaść w ręce okrutnych guerylasów hiszpańskich, nieraz czołgając się wśród zarośli i cierni, dotarli w końcu do forpoczt francuskich. Podzielając powszechne poważanie, jakiem naówczas otaczano starych legionistów i Napoleończyków, powziąłem dla Majewskiego wielki szacunek.

II.

Wojna 1831 roku.

(Korpus jenerała Dwernickiego).

Nie jest bynajmniej zamiarem moim opisywać całej walki naszej przeciw Rossyi; rzecz ta należy do historyka. Ograniczę się na opowiedzeniu tego, czego sam byłem świadkiem naocznym i to tylko w obrębie nader ścieśnionego widnokręgu prostego żołnierza.

Dnia 7-go lutego doszła do Góry wieść, że Rossyanie 6-go zaczęli przechodzić Bug. Następnego dnia nadszedł rozkaz od jenerała Dwernickiego, aby wszystko było gotowe do wymarszu. Przez całą noc byliśmy zajęci szyciem sakw, lamowaniem der, które nam rozdano w zastępstwie czapraków, i ostrzeniem pałaszy. Nazajutrz około godziny 8-mej tak z 3-go, jak z 1-go pułku ułanów, było po dwieście koni (t. j. 5-ty szwadron i pierwszy pluton 6-go) gotowych do marszu. Około 4-tej godziny popołudniu zatrąbiono: „Na koń“, i pomaszerowaliśmy drogą ku Kozienicom. Doszedłszy — już w zmroku — do karczmy Cuniewskiej, major Russjan (czy też Russyjan) zatrzymał dywizyon na gościńcu, kazał karczmarzowi przynieść kilka cebrów wódki i rozdać między żołnierzy, ile kto chciał pić. Poczem poszliśmy w dalszy pochód ku Warce i tam nas rozłożono po kwaterach.

Następnego dnia popołudniu, kiedyśmy byli gotowi do dalszego marszu, major Russjan stanął przed frontem i przemówił do nas w następujący sposób: „Wczorajszy dzień był dla nas dniem weselnym, ponieważ wyruszyliśmy do walki za ojczyznę. Dlatego też pozwoliłem wam pić, ile się każdemu podobało. Dziś idziemy na linię bojową, przestrzegam was zatem, abyście się trzymali na baczności. Nie zabraniam nikomu pić, ale uprzedzam was, że za najmniejszą oznakę pijaństwa będę karał przestępców jak najsurowiej.“

Przestroga ta była nadzwyczaj skuteczną, zwłaszcza, że tegoż samego dnia dowódca stwierdził ją czynem. Jeden z żołnierzy już był pijany od rana, a że miał konia bardzo czułego, co chwila rozbijał nim kolumnę marszową. Wachmistrzowi zaś na rozkaz, aby postępował spokojnie, odpowiedział hardo i niemal z pogróżką. Wachmistrz zdał bezzwłocznie raport. Winowajca może sądził, że mu to ujdzie na sucho, ale przy pierwszym folwarku zatrzymano dywizyon. Major kazał rozciągnąć żołnierza przed frontem na pęku słomy i wysypać mu trzydzieści rózeg, poczem zawołał groźnym głosem: „Won niegodziwy pijaku! pójdziesz pieszo za szwadronem i dziś jeszcze każę cię odstawić nazad do zakładu, bo nie jesteś godzien walczenia za ojczyznę.“ W samej rzeczy rozkaz ten wykonano jeszcze tegoż samego dnia, a choć 18-go lutego przybyły nam z zakładu trzy plutony, dopełniające szósty szwadron, nie było w nich tego żołnierza. Przykład ten wywarł bardzo zbawienny wpływ; od tej chwili bowiem raz tylko jeden (pod Boremlem) widziałem żołnierza z naszego plutonu podchmielonego.

Pod Mniszewem spotkaliśmy dywizyony innych pułków starej jazdy, oraz 1-szy pułk krakusów z 6-ciu szwadronów ludu pięknego i dziarskiej podstawy. Pułk ten należał do dywizyi jenerała Sierawskiego i pozostał na lewym brzegu Wisły; my zaś przeszliśmy ją po lodzie jeszcze tegoż dnia i tej samej nocy zaczęliśmy pełnić służbę obozową.

Cały korpus jenerała Dwernickiego składał się z czterech batalionów nowozaciężnych: 1-go, 2-go, 5-go i 6-go pułku piechoty; trzech dywizyonów (naówczas jeszcze niekompletnych i liczących tylko po 180 do 200 koni), czterech pułków ułańskich i pięciu szasserskich (również uzbrojonych w lance), małego szwadronu krakusów Kościuszki — po największej części Warszawiaków — i sześciu małych dział polowych. Razem najwięcej około 4.500 ludzi.

Dnia 14-go lutego cały korpus ruszył około 2-giej godziny zrana w marsz z obozu pod Filipówką ku Stoczkowi. Z dniem usłyszeliśmy nagle strzały karabinowe i wkrótce ujrzeliśmy pierwszych rannych jeńców rossyjskich, prowadzonych przez szasserów, którzy znieśli placówkę nieprzyjacielską.

Niebawem zajęliśmy Stoczek i tam stanęlięmy w ściśniętej kolumnie na rynku. Szwadron nasz ruszył pierwszy kłusem i rozwinął się tuż za miastem na pagórku przy drodze do Seroczyna, gdy równocześnie inne dywizyony rozwijały się dalej na prawem skrzydle. Przed nami były rozwinięte dwa łańcuchy flankierów, a na pagórkach pod lasem czerniły się masy wojska. „To nasi“ —

rzekł do mnie półgłosem mój pobocznik stary, Hiszpan Majewski — „tylko w mgle nie poznali się jeszcze“. — Zaledwie domówił, ryknęło działo i pierwsza kula zasyczała nam nad głowami. Jak na komendę skłoniliśmy się wszyscy i zarazem dosłyszałem około siebie: „Święty Jakóbie“, „Święty Stanisławie“, „Święty Antoni“, miej nas w swej pieczy!“ Nie mając sam żadnego świętego patrona, westchnąłem wszelakoż w duszy do Boga, aby mi tylko kula głowy nie urwała.

W tej samej chwili jenerał Dwernicki, otulony w płaszcz, ze spokojnem wejrzeniem przejechał stępo przed frontem. Zaszumiała druga kula i trzecia, ale już im żadna głowa nie oddała ukłonu. Jenerał, rzekłszy kilka wyrazów do naszego dowódcy, wskazał mu prawe skrzydło nieprzyjaciela. zkąd padły pierwsze wystrzały, i sam pojechał dalej. Major zaś Rusjan zawołał donośnym głosem: „Naprzód, stępo, marsz!“ — i zaczęliśmy schodzić z pagórka, na którym zastąpił nas sformowany w czworobok młody batalion 1-go pułku piechoty [1]). — „Dzięki Bogu!“ — pomyślałem sobie — „głowa jeszcze na karku; teraz na ręczną broń nie dam się przecież zarżnąć jak baran.“

Po przejściu małego padołu zwróciliśmy prawe skrzydło naprzód i zaczęliśmy wstępować na wzgórek, na ktorym stali Rossyanie. W tym obrocie front pokrzywił się nieco, kiedy major, obróciwszy się ku nam, zawołał groźno: „Milion djabłów zjedliście! Wolno! wolno! pysk przetnę temu, który się będzie rwał.“ — Kierunek się naprawił i teraz ujrzeliśmy trzy szwadrony dragonów,

---

[1]) Pod dowództwem pułkownika Rychłowskiego. Pierwszy granat, który wpadł w czworobok, wyrwał trzy roty z kompanii kapitana Łabędzkiego i między innymi zabił lekarza batalionowego. Pobocznicy zabitych, przerażeni tym widokiem, padli na kolana, wzywając pomocy N. Panny. — „Milion djabłów zjedliście!“ — zawołał kapitan gniewnie — „Na nogi! Szlusuj!“ — Posługacz, infirmier, widząc swego przełożonego zabitym, zrzucił z siebie torbę z przyborami lekarskimi, porwał za ładownicę i karabin jednego z zabitych i stanął do szeregu w wyłomie, zrobionym przez granat. Dla dania żołnierzom ducha, pułkownik Rychłowski zaintonował w tej samej chwili donośnym głosem: „Jeszcze Polska nie zginęła!“ Zachęceni tym przykładem żołnierze zaczęli śpiewać, — zrazu głosem niepewnym i drżącym — ale w mgnieniu oka ochłonęli ze strachu. Scenę tę opisał mi obecny przy tem podporucznik Polański w obecności kapitana Łabędzkiego, a później (na emigracyi) opowiedział mi ją Konstanty Piliński, który, będąc naówczas podoficerem w tejże kompanii, miał twarz tak zbryzganą krwią i mózgiem, że kapitan Łabędzki sądził zrazu, że i on śmiertelnie raniony.

które się zbliżały ku nam kłusem, ale nagle wśród hucznego „hurra!“ zatrzymali się przy schyłku wzgórza. Dowódca ich pewno mniemał, że rzuciwszy się z tego miejsca na nas idących pod górę, łacno nas rozbije. — „Do flanku broń!“ — zakomenderował major Rusjan i w tejże chwili dragoni dali do nas ognia z karabinków. Nie zmięszani bynajmniej tym wystrzałem, szliśmy dalej stępo, jak dotąd. Dopiero na jakie dwadzieścia kroków, na komendę: „Do ataku broń! Marsz! Marsz!“ — ruszyliśmy z kopyta jak piorun i w dwóch skokach starliśmy się z Rossyanami. Ani major, ani żaden z oficerów nie opuścił swego stanowiska przed frotem i pierwsi wpadli na nieprzyjaciela. Rossyanie, mając front niemal trzy razy dłuższy od naszego, chcieli nas oskrzydlić w tej szarzy, ale starzy żołnierze nasi w drugim szeregu bez komendy niczyjej zwrócili się trzema na lewo w tył i nadstawili im ostrza lanc. Przez kilka sekund nie było nic słychać, tylko chrzęst drzewców i szczęk pałaszy; ale skoro po przełamaniu frontu Rossyanie zaczęli pierzchać, dopiero wiarusy zaczęli wołać: „A bijże, a tnijże go szelmę!“ — i tak pędząc, co tylko konie wyskoczyć mogły, ścigaliśmy nieprzyjaciela ku młynowi, który stał przy drodze, i poza młyn przez las.

Więcej ran, choć tylko lekkich, zadali nam ci, którzy chcieli nas okrążyć, aniżeli ci, którzy przed nami trzymali lance kozackie, w które ich uzbrojono, o łokieć przed łbami końskimi. Nie mając innej drogi do ucieczki, jak tę, którą zmykali ich towarzysze przełamani, poporzucali po największej części swe lance i przejeżdżając między nami, jeszcze niejednemu z nas pałaszami na odlew zadali ranę. Chciał i mnie jeden z tych drabów zamalować, ale przeciął mi tylko płaszcz na lewem ramieniu. Wyskoczywszy na długość konia, chciał jednemu z naszych z tyłu rozpłatać głowę, ale w tej samej chwili ugodziłem go tak silnie i prawdę mówiąc, tak niezgrabnie w krzyż, że złamałem w nim lancę i grot mu został w ciele. Opadło mu ramię i sam się zwalił na ziemię. Ja zaś dobywszy pałasza i pędząc dalej, rąbnąłem w kark drugiego Rossyanina, który się nieco chylił z konia.

Pod młynem był ścisk chwilowy. Nieprzyjaciele ratowali się konno i pieszo na zamarzłą sadzawkę, ale i tam niejednego z nich śmierć zdybała. Tak ścigaliśmy ich przez pół mili.

Kiedyśmy wrócili pod miasteczko, cała rozprawa była skończoną. Nie trwała nawet godziny. Sprowadzono z różnych stron do 450 niewolników, a poległych Rossyan było około 200. W miejscu, gdzie dywizyon nasz uderzył na nieprzyjaciela, zabraliśmy cztery

działa; na lewem zaś skrzydle rossyjskiem zabrali nasi siedm, czyli razem jedenaście dział, z których jedno tylko było zagwożdżonem, oraz furgony z bagażami sztabu jenerała Geismara. On sam uszedł, dzięki biegłości swego konia.

Z naszej strony, jak mnie zapewniono, poległo tylko dwudziestu siedmiu ludzi, choć lekko rannych była spora liczba. Major Rusjan odebrał trzy rany, z których jedną w przegub u lewej ręki, i dlatego wraz z wachmistrzem naszego plutonu, również rannym, został odesłany do Warszawy. Dowództwo nad dywizyonem objął kapitan Lisiecki, posunięty na majora.

Korpus nieprzyjacielski składał się z 5.000 doborowej jazdy, która, jak mówiono, najświetniej się odznaczyła w wojnie tureckiej; a jenerał Geismar takie miał zaufanie w waleczności swych żołnierzy, że w przemowie do nich przed bitwą ubolewał, że mu wypadało prowadzić swą waleczną „rabiatę“ na hołotę, która pierzchnie na sam widok zabałkańskich bohaterów. Nie wiem, czy w godzinę później zmienił swe zdanie o nas. Mniejsza o to. Przetrzebiliśmy porządnie jego dragonów, a wino, konfitury i inne łakocie, które wiózł za sobą dla siebie i swego sztabu, zostały odesłane do Warszawy, aby członkowie rządu naszego skosztowali tych przysmaków; doskonały zaś Wagstaff, zapakowany w kilku dużych pudłach, jak herbata, kilku podoficerów z 4-go pułku ułanów rozwoziło z rozkazu jenerała Dwernickiego między szeregami, aby każdy wiarus mógł go wziąć garść i uraczyć się dobrym tytoniem rossyjskim.

Ku wieczorowi cały nasz korpus pomaszerował do Parysewa, gdzie pozostaliśmy obozem przez następny dzień.

Dnia 17-go lutego przeszliśmy Wisłę pod Górą i tegoż dnia rozłożono nas po wsiach okolicznych. Dywizyon nasz skompletowany, jak również i inne, został wysłany do Czerska.

Dnia 19-go lutego około 6-ej godziny zatrzymaliśmy się pod Mniszewem, między wsią i bliskim laskiem, i tam czekaliśmy, aż nadciągnęły inne szwadrony.

Choć mieliśmy strzemiona pookręcane krajką, mróz nam dokuczał okrutnie w nogi. Kazano zsiąść z koni, ale tak byliśmy przeziębli, że nie pomogło i dreptanie. Nagle — jakby rozpaczą pchnięci — rzucili się wiarusy ku kuźni, na końcu wsi, zdarli część dachu słomianego i wynieśli koła stare i nowe, i co tylko było w niej drzewa. W mgnieniu oka buchnęły ognie przed frontem i kto tylko mógł, cisnął się do nich. Tymczasem nadciągnęły i inne od-

działy i cały nasz korpus, poprzedzony dywizyą jenerała Sierawskiego, ruszył w dalszy pochód ku Kozienicom.

Około 2-giej popołudniu cała kawalerya dwóch dywizyi rozwinęła się niedaleko gościńca do Kozienic w trzy linie. W ostatniej szwadron pułku 5-go szasserów (byłej gwardyi) zajął prawe skrzydło; obok niego stanęły dwa szwadrony krakusów, następnie dywizyon 3-go pułku ułanów, a na lewem skrzydle dywizyon 1-go pułku ułanów. Kilka batalionów kosynierów z dywizyi jenerała Sierawskiego posunęło się naprzód ku lasowi. Za nimi postąpiła 1-sza i 2-ga linia jazdy, a niezwłocznie na rozkaz, który przywiózł Zenon Niemojewski, adjutant jenerała Dwernickiego, i nasza linia ruszyła kłusem szóstkami od lewego. W kilka chwil dopadliśmy do kilku chałup, gdzie za opłotkami stał mężczyzna w szarej bekieszy, — na pozór ekonom. Na zapytanie naszego dowódcy, majora Lisieckiego, w którym kierunku są Rossyanie, wskazał nam w lewą stronę ku Nadwiślu; lecz zaledwie posunęliśmy się o sto kroków dalej, kiedy kobieta wypadła z chaty i z krzykiem wielkim ostrzegła majora, że w kierunku tym są parowy, w których niechybnie zagrzeźniemy, i że Rossyanie nie są w tej stronie, ale przeciwnie za lasem, od któregośmy się oddalali. Natychmiast zmieniono czoło kolumny w wstecznym kierunku. Zaledwie ruch ten wykonano, usłyszeliśmy huk armat i bezzwłocznie ujrzeliśmy chmarę krakusów, uciekającycb przez choinę w strasznym popłochu, Jedni byli krwią zbroczeni, drugim się siodła przewracały. „Stój! formuj się! — Wstyd, hańba!“ — wołali oficerowie nasi, lecz ani te krzyki, ani płazy, którymi usiłowano zatrzymać uciekających, nie zdołały powstrzymać popłochu.

Tymczasem kolumna nasza szła dalej kłusem w las, kiedy nagle usłyszeliśmy komendę: „Na lewo! formuj szwadron!“ Galopem zaczęliśmy rozwijać się na polu między lasem a równoległymi opłotkami Nowej wsi. Aby stanąć, jak poprzednio, na lewem skrzydle, wypadało naszemu dywizyonowi wprzód przejechać wszerz całe to pole; ale zaledwie zaczęliśmy wysuwać się z lasu, Rossyanie przywitali nas ogniem tak żywym, że nam kartacze lance przetrącały. To też nie mogąc już dotrzeć do przeznaczonego nam stanowiska, piąty szwadron naszego pułku zmięszał się po części z 6-tym szwadronem 3-go pułku ułanów, aby tylko do frontu stanąć i tak na komendę: „Do ataku broń! Marsz! marsz;“ — siedm szwadronów ruszyło, co tylko konie mogły wyskoczyć, na nieprzyjaciela.

Szarża pod ogniem tak rzęsistym przeraziła Rossyan do takiego stopnia, że cała ich konnica, stojąca tuż przy działach, pierz-

chła, nimeśmy wpadli na nią, i pędem uciekała dróżyną, ciągnącą się między lasem a kępiastem trzęsawiskiem, ku głównemu gościńcowi do Kozienic. Krakusy wraz z innymi szwadronami, składającymi nasze prawe skrzydło, tak ślepo pędzili za uchodzącym nieprzyjacielem, że — kiedy dywizyon nasz także dopędzał do owej dróżyny — ujrzeliśmy nagle przed sobą sześć dział rossyjskich, zaprzodkowanych i gotowych do odwrotu. W mgnieniu oka rzuciliśmy się na nie. Kanonierzy rossyjscy bronili się dzielnie, to wyszorami, to pałaszami, a działa ruszyły ku gościńcowi; ale droga była tak zapchaną, że nie zdołały ujechać i kilkudziesięciu kroków. W tym odwrocie Bergiel, stary żołnierz, z 4-go plutonu 5-go szwadronu pchnął podpułkownika artyleryi rossyjskiej, Butowicza, lancą w krzyż i zwalił go na ziemię.

W tej pogoni spostrzegłem oficera rossyjskiego na dzielnym białym koniu, zmykającego przez zamarzłe trzęsawisko. Uniesiony dawną pokusą na tego rumaka, rzucam się za nim, a że obszerny płaszcz, rozpuszczony na ramionach oficera, jakby żagiel, utrudniał mu ruch, dognałem go tak blisko, że w dwóch skokach byłbym go niechybnie ugodził, kiedy nagle głośne „Hurrah!“ zwróciło mą uwagę na prawo. Widzę, że Rossyanie odparli i ścigają naszych. Zwracam więc konia i — w obawie, aby się nie przewalił między kępami — pędzę ku traktowi na grobli, wznoszącej się o kilka stóp ponad trzęsawiskiem. Tam dopędziłem wachmistrza 6-go szwadronu z naszego pułku a za nim podchorążego z 3-go pułku ułanów. Pierwszemu zwinął się koń i padł w rów; drugi wpadł na niego i powalił się także. Jakim cudem uniknąłem podobnego losu, trudno mi dotąd pojąć. Tyle tylko wiem, że w owej chwili koń mój miał więcej przytomności umysłu, aniżeli ja. Rzuciwszy się sam na prawo, wskoczył na groblę i puścił się jak strzała po równym gościńcu ku lasowi, a tuż za mną dragon rossyjski z wzniesionym pałaszem, wrzeszcząc: „Kryczy pardon miatieżnik!“ Za całą odpowiedź zwróciłem grot w tył i patrząc się tylko na niego, a nie przed siebie, dałem koniowi ostrogę i puściłem mu cugle.

W szarży tej dwa szwadrony krakusów, tworzące prawe skrzydło linii bojowej, dopadli pierwsi do drożyny, którą Rossyanie uciekali i pędzili za nimi, jakby na wyścigach. W mgnieniu oka przebiegli groblę i wpadli na mostek, gdzie z drugiej strony rzeczułki rezerwa księcia Würtemberskiego dla wstrzymania pogoni raziła ogniem karabinowym bez różnicy ścigających i ściganych.

W tym ścisku okropnym, w którym nie walczono już bronią, ale że tak powiem, pięściami, Abramowicz [1]), kapitan krakusów, krzyknął nagle: „Uciekaj co możesz!“ Hasło tego niecnego zdrajcy, czy tchórza, tak przestraszyło młodych żołnierzy, że krakusy zwrócili konie i w zapędzie przerażenia rozbijali idących za nimi szasserów i ułanów. Pogoń Rossyan nie trwała atoli długo; zatrzymała się bowiem o kilkaset kroków. Zebrawszy na prędce leżących na grobli rannych albo zwalonych z koni do niewoli [2]), szybkim pochodem dążyli ku Kozienicom, gdzie reszta korpusu jenerała Kreutza, przestraszona wiadomością o naszem zwycięztwie, była gotową do odwrotu na prawy brzeg Wisły.

Tak niespodzianie odparci, dążyliśmy kupkami na pole naszego zwycięztwa i — skoro się cały dywizyon sformował — dano nam rozkaz cofnąć się pod Ryczywół, gdzie już o zmroku rozłożyliśmy się obozem.

---

[1]) Abramowicz był przed powstaniem adjutantem jen. Haukego i grał u niego w whista w wieczór 29-go listopada, ale w pierwszym alarmie nie znalazł konia, aby towarzyszyć ministrowi i jego szefowi sztabu, Meciszewskiemu, na Krakowskie Przedmieście i tym sposobem uniknął śmierci, którą tamci zginęli. Po bitwie pod Nową Wsią został wykreślony z kontroli. W lipcu 1831 r. widziałem często ochotnika w mundurze gwardyi narodowej i w bermycy sapera francuskiego, wędrującego samopas przy oddziale, prowadzonym naówczas na Litwę przez pułkownika Samuela Różyckiego. Zapewniono mnie, że to był ów Abramowicz, który się tak haniebnie spisał pod Nową Wsią i nie mogłem pojąć, kto go upoważnił do towarzyszenia na ochotnika naszemu oddziałowi. Ile razy w emigracyi dochodziły nas wiadomości o brutalskim policmajstrze, Abramowiczu, pastwiącym się nad więźniami politycznymi a nawet spokojnymi mieszkańcami Warszawy, nasuwało nam się podejrzenie, które dotąd zachowuję, że ów tchórz w nocy 29. listopada i 19. lutego 1831 roku, następnie cygański ochotnik w bermycy a w końcu policmajster w randze jeneralskiej, są jedną i tąż samą osobistością.

[2]) Zabrali ich tylko kilkunastu: między innymi i byłego kolegę mego uniwersyteckiego, Zenona Niemojewskiego, Belwederczyka, który w tej rozprawie odebrał kilkanaście ran, i później, wymieniony pod innem nazwiskiem, przewieziony został do ambulansu w szkole aplikacyjnej w Warszawie. Widziałem go tam po raz ostatni w miesiącu maju, kiedy — po powrocie z korpusu jenerała Dwernickiego — poszedłem tam odwiedzić mego przyjaciela, Anastazego Mazowieckiego. Przy łóżku Niemojewskiego siedział znakomity chirurg z czasów napoleońskich, dr. Antomarchi, który tak czułe miał staranie około rannego, że byłby go pewno w końcu przywrócił do zdrowia, gdyby go gwałtowny żal z powodu kapitulacyi nie dobił w sam dzień wejścia Rossyan do Warszawy.

Następnego dnia, zamiast atakować Kreutza w Kozienicach, jenerał Dwernicki, uwiadomiony, że Rossyanie robią przygotowania do przejścia Wisły około Jezierny, nakazał ruch wsteczny ku Górze.

Dywizyon nasz, idący w aryergardzie, rozłożono na noc pod laskiem mniszewskim od strony Magnuszewa na roli rozwilżonej, na której nie można było bez zmoczenia się ani siąść, ani się położyć. Wysłano furyerów po żywność, a tymczasem wiarusy, zniecierpliwieni znużeniem i zimnem, rzucili się w młody łasek i wycięli nie mało choiny na ognisko i na podkład. Ztąd znaczna szkoda dla właściciela a nam nie wielki użytek: legowisko bowiem z gałęzi nie było bardzo wygodne, a choina zamiast się palić, dusiła nas przez długi czas kłębami gęstego dymu.

Awangarda naszego korpusu przepędziła oddziały kozaków, które przeszły Wisłę między Piaskami a Jezierną, na prawy brzeg i tem samem zmusiła Rossyan do zaniechania zamiaru odcięcia nas od Warszawy. Zaspokojony pod tym względem jenerał Dwernicki, zwrócił się znów na Kreutza, lecz już nie na Magnuszew i Ryczywół, ale na Warszawę i przez lasy głowaczewskie, spodziewając się pewnie tym sposobem zamaskować swój marsz i zaatakować nieprzyjaciela od strony Radomia. Ostrzeżony wszelakoż przez swe patrole o zbliżaniu się naszem, jenerał Kreutz śpiesznie zwinął swe siły i przeszedł na prawy brzeg Wisły.

Dnia 24-go wieczorem doszliśmy do Kozienic, ale nie zastaliśmy tam już ani nogi rossyjskiej. Dywizyon nasz rozłożono w mieście. Nad ranem następnego dnia zjawił się wachmistrz 6-go szwadronu naszego pułku, który się był powalił z koniem w oczach moich przy grobli pod Nową Wsią i został wzięty do niewoli.

Pobyt jego pięciodniowy w obozie nieprzyjacielskim i sposób, w jaki się wydobył z rąk rossyjskich, jest istną skróconą Odysseą.

Kiedy go przyprowadzono do Kozienic, jenerał Kreutz poznał w nim dawnego doskonałego instruktora, który mu był przed kilkoma laty poprzednio przysłany przez W. Księcia Konstantego do jego dywizyi, konsystującej naówczas na Ukrainie zadnieprskiej. Przyjął go bardzo uprzejmie i po kilku uwagach o nieochybnem stłumieniu powstania polskiego, namawiał go do wstąpienia do wojska rossyjskiego w stopniu oficerskim. Tymczasem zostawił go wolnym na kwaterze w Kozienicach. Nadzieja łatwiejszego odzyskania wolności skłoniła więźnia do pozornego przyjęcia tej propozycyi. Kiedy dnia 23-go lutego nadeszły pierwsze wieści niepewne o mar-

szu jenerała Dwernickiego na czele znacznych sił (?), a Rossyanie gotowali się pośpiesznie do cofnienia się, nasz podoficer, sądząc, że nie nadarzy mu się sposobniejsza pora do ucieczki, skrył się u jakiegoś żyda. Niebawem wszelakoż nadeszły raporta mniej zatrważające, które spowodowały jenerała Kreutza cofnąć rozkaz rejterady. Skoro się wszystko uspokoiło w mieście, żyd jakiś zdradził kryjówkę wachmistrza. Przyprowadzono go do kwatery głównej, gdzie mu jenerał Kreutz wyrzucał, że ucieczką swoją skompromitowałby go w oczach marszałka Dybicza, któremu go przedstawił do rangi oficerskiej. Pomimo to wyraził nadzieję, że zastanowi się lepiej nad swem położeniem, i zostawił go nadal na wolnej stopie. Widocznie chciał mu dać drugą sposobność do ucieczki, a więzień ze swej strony postanowił korzystać z niej jak najprędzej. Otóż nazajutrz, na wiadomość o bliskości Dwernickiego, Rossyanie jak najspieszniej zaczęli przechodzić na prawy brzeg Wisły, a nasz wachmistrz wśród tego alarmu skrył się powtórnie. Gdy się wszystko uciszyło, wyszedł ze swej kryjówki, wsiadł na pierwszą szkapę, którą mu traf nastręczył, i ruszył galopem gościńcem ku Górze. Dopiero pod Magnuszewem dowiedział się, że korpus nasz najpewniej pomaszerował na Brzozę, zwrócił więc konia i zjawił się między nami nad ranem 25-go.

Wieść o jego przygodach rozbiegła się po całym obozie i wywołała tak wielkie oburzenie na żydów, że kiedy liwerant, który był dostarczył furażu Rossyanom, z hardą miną odmówił owsa krakusom, ci go wyszturchali, zawlekli na rynek niedaleko pałacu, spuścili latarnię i już mieli na jej miejscu zahaczyć zdrajcę, gdy kilku oficerów wybiegło z głównej kwatery. Rozpędzili zażartych krakusów i ochronili żyda od niechybnej śmierci. Rzecz wszelakoż nie skończyła się na tem. W pół godziny później krakusy rozjątrzeni nietylko złą wolą liweranta, ale bardziej jeszcze zdradą, popełnioną na naszym wachmistrzu, rzucili się nagle i jednocześnie na domy żydów, nie dla rabunku wszelakoż, ale tylko dla zrządzenia im szkód i ukarania ich przeniewierstwa. Potłukli im naczynia, połamali sprzęty, porozcinali piernaty, a nawet wytoczyli kilka beczek miodu. Na przeraźliwy krzyk i płacz, który się wzniósł ze wszystkich stron, oficerowie i podoficerowie rozbiegli się żydostwu na ratunek, ale mało co któremu z krakusów dostało się po karku. W mgnieniu oka zniknęli i wrócili do obozu, nie unosząc z sobą nic, prócz tytoniu, którego nie zostawili w trzech składach, w mieście znajdujących się, ani jednej paczki.

Pod wieczór wysłano nasz dywizyon na grangardę do Nowej Wsi i tam pozostaliśmy 24 godzin. Włościanie opowiadali nam, że po wstecznym marszu ku Górze 20 lutego, wieś ich została znów zajęta przez dragonów rossyjskich, którzy tam pozostali przez kilka dni w wielkiej niespokojności. Rozmawiając o rozprawie 19. lutego i nie pojmując innego bodźca do odwagi nad wódkę, powtarzali, że żołnierze Dwernickiego idą do szarży pijani i dlatego żaden ogień nie może wstrzymać ich ślepego zapędu. Przestrach między nimi był tak wielki, że prócz wedet jeden z nich ciągle siedział na najwyższym szczeblu drabiny, prowadzącej do komina chaty, zajętej przez dowódzcę oddziału, i wytrzeszczał ślepie ku Ryczywołowi, zkąd się spodziewali nowego ataku z naszej strony.

Dnia 1-go marca pomaszerowaliśmy po lewym brzegu Wisły i stanęliśmy 3-go przededniem naprzeciwko Puław. Prąd wody już wtenczas wymył lód nad brzegami, ale zastaliśmy gotowe pomosty od brzegu aż na lód mocny. Kazano nam zsiąść i przechodzić rzekę jeden za drugim w odstępie kilku kroków, prowadząc konie za cugle. W przechodzie tym dawał się słyszeć huk, jak gdyby lód pękał. Były to ostatnie strzały strzelców sandomierskich, którzy pod dowództwem dzielnego kapitana swego, Juliusza Małachowskiego, wykurzyli Rossyan z miasteczka. Rozłożyliśmy się po ulicach i podwórkach, czekając dalszych rozkazów. Tymczasem głód nam zaczynał dokuczać. Kiedy się oglądam, czy nie można dostać gdzie, choćby tylko kawałek suchego chleba, widzę mego pobocznika, Majewskiego, wychodzącego z dworku, opuszczonego przez mieszkańców, z ogromnym garnkiem konfitur. W niedostatku czegoś pożywniejszego zjadłem i ja kilka łyżek tego specyału i to mi wystarczyło aż do wieczora. W kilka chwil później zatrąbiono: „Na koń!“ — i zaraz poszliśmy w marsz gościńcem ku Lublinowi. O półtorej mili zastaliśmy jeszcze dogorywające ogniska co tylko opuszczonego przez nieprzyjaciela obozu, a nieco dalej ujrzeliśmy rossyjską jazdę z kilkoma działami, cofającą się spiesznym pochodem do Kurowa. W mgnieniu oka szwadrony nasze rozwinęły się na prawo i na lewo od gościńca. Ksiądz Szyndlarski [1]), z ogromnym rapierem kirassyerskim przy boku i z krzyżem w ręku, przyjechał przed front nasz, przemówił

[1]) Choć go znałem bardzo dobrze, nie jestem pewien, czy się nazywał Szyndlarski, czy też Szynklarski. Już w podeszłym wieku uczęszczał niemal codziennie na kursa uniwersyteckie, chętnie wchodził w rozmowę z akademikami i był poważanym przez nas jako żarliwy patryota. Mówiąc o nim już na emigracyi w małem kółku dawnych kolegów, usłyszałem z wielkim żalem, że według wieści ksiądz Szyn-

do nas w kilku wyrazach ognistych, przeżegnał nas i ruszył do innych oddziałów.

Równocześnie zatoczono przed nami kilka dział, których pierwsze dwa strzały były tak skuteczne, że strzaskały koło u jaszczyka rossyjskiego i ogromne sprawiły zamięszanie w kolumnie nieprzyjaciela, uchodzącego jak najspieszniej, aby nie zostać odciętym od miasta przez dwa dywizyony naszej jazdy (4-go pułku ułanów, krakusów Poniatowskiego i jazdę pułkownika Łagowskiego). Rossyanie dali z miasta kilka wystrzałów armartnich, ale im to nie posłużyło na nic, ponieważ wymienione dwa dywizyony nasze wpadły tuż za nimi na rynek i zabrały im cztery działa oraz kilkunastu kanonierów. Uniesieni zwycięztwem ułani nasi tak zaciekle ścigali pierzchającego nieprzyjaciela, że wpadli na gościńcu do Markuszowa na dwa pułki dragonów, spieszące rozbitej aryergardzie na pomoc, i zostali odparci ze stratą kilkunastu zabitych i rannych. Niedaleko wszelakoż ścigali dragoni naszych, ponieważ trzy świeże dywizyony naszej jazdy wpadły na nich i pomimo silnego oporu nietylko rozbiły ich, ale zabrały im dwa działa. Przerażeni Rossyanie uciekali przez Markuszów w takim samym nieładzie, jak przez Kurów, a mieszkańcy, jak nam mówiono, korzystając z tego popłochu, niejednego dragona zwalili drągami z konia.

Następnego dnia wyruszyliśmy w dalszy marsz, ale nie głównym traktem do Lublina, lecz bocznemi drogami, w celu, jak się domyślaliśmy, zaskoczenia Rossyan. Nagle, kiedy już zmierzchło, kazano przyspieszyć pochód. Ruszyliśmy więc dalej, to kłusem, to galopem, po ciasnej spadzistej drożynie, pokrytej lodem, i w pół godziny później weszliśmy do Lublina, ale Rossyan już tam nie było. Zapewniano mnie, że w chwili naszego wejścia do miasta słyszano ich trąby po drugiej stronie na trakcie do Zamościa i że niechybnie bylibyśmy ich zaskoczyli i znieśli cały korpus Kreutza, gdyby nie został uprzedzonym o zbliżaniu się naszem przez dezertera z 4-go pułku ułanów.

Cały Lublin był oświetlony. Zaledwie dywizyon nasz rozłożył się obozem na dziedzińcu klasztoru PP. Wizytek, wyszedłem z wachmistrzem naszego plutonu, Danielewiczem, na miasto, aby po długim głodzie znaleźć jakiś posiłek. Widząc bramę otwartą i oświetloną, byliśmy pewni, że to traktyernia. Weszliśmy zatem do pokoju na pierwszem piętrze, gdzie na zapytanie, czy nie mogli-

dlarski, chcąc emigrować pod koniec 1831 r., został schwytanym przez Rossyan niedaleko Kalisza i wysłanym na Sybir.

byśmy mieć kolacyę zaproszono nas siedzieć i przyniesiono nam spory półmisek zrazów, a drugi z kartoflami i butelkę piwa. Dziwiło nas nieco, że w tym samym pokoju mężczyzna chory leżał w łóżku, ale sądziliśmy, że zamiast do sali publicznej, weszliśmy przez nieświadomość do pokoju prywatnego traktyerni. Uraczyliśmy się do syta, a kiedym zapytał, ile się należy, chory spojrzał na nas z uśmiechem, a gospodyni odrzekła, że wcale nic i że im było bardzo miło ofiarować nam tak skromną wieczerzę. Podziękowaliśmy za gościnne przyjęcie i wyszliśmy nieco zawstydzeni, ponieważ w przekonaniu, że zapłacimy za strawę, zmietliśmy do szczętu zrazy i kartofle.

Nazajutrz byliśmy zajęci kuciem koni i naprawą nadwerężonych przyborów. Trzeciego dnia (w niedzielę 6-go marca) mieliśmy prawdziwy odpoczynek. Z każdego dywizyonu odkomenderowano po kilkunastu ludzi starannie oczyszczonych w paradzie do fary, gdzie ksiądz Pijar Puławski miał patryotyczne kazanie. Wieczorem miasto było oświetlone, a w teatrze grano na uczczenie jener. Dwernickiego jakąś sztukę, ułożoną naprędce przez miejscowego improwizatora.

W poniedziałek (7-go marca) rano stanęły wszystkie oddziały w ściśniętej kolumnie na placu przed pomnikiem Unii Litwy z Koroną i tam po przemówieniu jenerała złożyły przysięgę wierności Ojczyźnie i Rządowi narodowemu.

Jak przyjęcie nasze w Lublinie było serdeczne, tak też i pożegnanie było rozczulające, tem bardziej, że mieszkańcy pewno przeczuwali ponowne po naszem wyjściu zjawienie się szarańczy rossyjskiej. Wszystkie okna były przepełnione kobietami. Obrzucano nas kwiatami naturalnymi i sztucznymi, które chwytaliśmy skwapliwie w nadstawione czapki, jako miły upominek tej patryotycznej ludności i zachęty do dalszych zwycięztw.

Pomaszerowaliśmy na Piaski Luterskie do Krasnegostawu, gdzie się korpus zatrzymał dzień jeden. Zaczęła nastawać odwilż, a przytem i deszcz pruszył. Przypominam sobie, że w tym pochodzie, wróciwszy po północy z wedety do placówki, położyłem się na gołej ziemi i zasnąłem. Gdy się nad ranem obudziłem, byłem z jednej strony przemoczony do nitki, bo zrobiła się podemną istna kałuża, a z drugiej strony płaszcz ścięty mrozem był sztywny, jak róg.

W czasie dniówki naszej w Krasnymstawie część piechoty i kawaleryi naszej wyszła, niewiadomo dokąd, a reszta korpusu pomaszerowała następnego dnia do Wojsławic. Dopiero w dwa dni później dowiedzieliśmy się, że w tem miejscu mieliśmy wziąć

w kleszcze brygadę rossyjską, która kilkoma dniami poprzednio była wkroczyła przez Bug w województwo lubelskie. Ale Rossyanie, przestrzeżeni przez szpiegów żydowskich, umknęli z pod Wojsławic kilkanaście minut przed przyjściem naszem i tak spiesznie się cofali, że podpułkownik Rychłowski, który im miał odciąć odwrót po za Bug, przetrzebił tylko ich aryergardę za Uchaniem i zabrał ich kilkuset do niewoli.

Już noc zapadła, kiedyśmy się rozłożyli obozem pod Wojsławicami.

Dalszy marsz stawał się zgoła niemożliwym. Droga w niektórych miejscach była istnem oparzeliskiem, szczególnie, gdzie konnica wyprzedzała piechotę. Wytrwałość ostatniej była istotnie zadziwiającą. Widziałem ją w jednem miejscu, brodzącą w tem rozrzedzonem błocie aż po łydki. Żołnierze szukali na prawo i lewo, gdzieby postawić nogę na twardszym gruncie, ale oficerowie dla dania przykładu brnęli na przodzie wprost przed siebie przez tę nieprzejrzaną kałużę. Trudno pojąć, jak artylerya zdołała przebyć owe straszne drogi, a wszelako przebyła je bez straty.

Z Wojsławic pomaszerowaliśmy 11-go marca pod Zamość i tam piechota nasza zajęła przedmieście, czyli tak zwane nowe miasto, oraz dawny obóz letni 2-ej brygady strzelców pieszych, a konnicę rozłożono po wsiach okolicznych. Dywizyon nasz zajął Majdan i każdego dnia pluton jeden stawał na placówce w gminach ostatniej kolonii, a wedeta była wysuniętą o kilka stai dalej nad rzeczułką bezimienną, za którą o takąż odległość była druga kolonia. Jednego dnia, kiedy stałem na wedecie, wiatr zimny pędził tak gęste tumany śniegu w oczy koniowi, że biedny szkapa co chwila odwracał się zadem do tej strasznej zawieruchy, i tylko wędzidłem i ostrogą mogłem go utrzymać w kierunku nakazanym. Kiedy mnie zluzowano i wróciłem do placówki, porucznik Umieniecki zapytał mnie, co to za żołnierze przejechali za rzekę. — „Nie widziałem żadnego żołnierza“. — „Jakto nie widziałeś Pan?“ — „Istotnie nie widziałem, a któż to ich dostrzegł?“ — „Majewski“ — zawołał ktoś. — „Ach! jeżeli tylko Majewski“ — odrzekłem — „to pewno sobie uroił, boć on w każdym krzaku widzi kozaka“. — „Milcz Pan!“ — zawołał porucznik gniewnie — „wszyscyśmy ich ztąd widzieli. Grudzień! siadaj na koń, dopędź galopem do tej kolonii i wywiedz się, co to za wojskowi ztamtąd wyjechali“. Wkrótce wrócił i doniósł, że to byli parobcy, którzy pojechali konno, z cepami na ramieniu, na młockę do sąsiedniego folwarku.

Śmiałem się w duszy, ale nie ważyłem się nic powiedzieć, ponieważ wśród owej zamieci nie dostrzegłem nawet tych młockarzy.

Pobyt nasz pod Zamościem nie przeszedł bezczynnie. Odbywaliśmy częste patrole i nocne wycieczki na okrążające nas oddziały rossyjskie. W jednej z nich ku Staremu Zamościowi dywizyon nasz wpadł po północy na grandgardę nieprzyjacielską i przetrzebił ją porządnie. Rossyanie zmykali, jakby ich djabli gonili, ale wśród ciemnej nocy nie mogliśmy ich ścigać daleko.

W kilka dni po przybyciu naszem do Zamościa, Wyżewski, Jakóbowski i ja zostaliśmy awansowani na podoficerów.

Zaledwie piechota nasza rozłożyła się po kwaterach i w szopach dawnego obozu, jak to wyżej powiedziałem, wybuchła cholera i tak grasowała w naszych trzech wymęczonych batalionach, że na tę straszną i jeszcze nieznaną zarazę padało codziennie po kilkunastu a nawet i więcej ludzi [1]), a liczba chorych tak się powiększyła, że w improwizowanym dla nich lazarecie leżeli na słomie, każdy mając swój tornister za poduszkę a płaszcz za kołdrę.

Żywności wprawdzie nie brakło, ale była złą. Pokazało się, że mięso, złożone w magazynach fortecy na przypadek oblężenia, nie było dobrze zasolone. Rozdawano je zatem między oddziały naszego korpusu, a na zapas dla załogi bito bydło, sprowadzane pod eskortą, i solono mięso na nowo. To, które nam wydzielano z fortecy, było tak stęchłem, że trzeba było odwagi, aby je połknąć. Niedziw, że niejeden z żołnierzy wolał pożywić się żurem i kar-

---

[1]) Najwięcej ucierpiał batalion 5-go pułku piechoty, ponieważ zmniejszył się w skutek tej choroby na 250 ludzi. Kilka razy w pochodzie naszym uważałem w tym batalionie młodego szczupłego chłopca, mającego najwięcej szesnaście lat. Widocznie był ochotnikiem i bardzo kochanym przez swych towarzyszów, ponieważ dla chwilowej ulgi jeden z jego silniejszych pobocznikówów niósł jego karabin. Przebiegając później pamięcią owe czasy, nasuwało mi się nieraz pytanie: jaki też los spotkał owego mężnego chłopczynę. W r. 1861 zjechawszy się ze szwagrem i siostrą moją Dorotą Kamińską w Ems, zastałem tam garstkę Polaków i Polek z rozmaitych dzielnic Polski. Między nimi byli dwaj, z którymi bliżej się zaznajomiłem: jakiś urzędnik z Warszawy, którego nazwiska nie pamiętam, i p. Popiel, adwokat z Lublina. Przepędzali z nami większą część każdego dnia i towarzyszyli nam na naszych przechadzkach. Ostatni szczególnie lubił rozmawiać ze mną o wypadkach 1831 roku i dnia jednego, kiedy mu opowiadałem epizod jeden z wyprawy pod Dwernickim, przyznał mi się z rozczuleniem, że i on służył w jego korpusie i był owem chłopięciem, którego odwaga i wytrwałość w szeregach batalionu 5-go pułku piechoty lit. zwróciły na siebie moje podziwienie.

toflami, których mu gospodarz dostarczał. W chałupie, w której nas stało sześciu, nie mieliśmy jednak tego specyału. Należała ona do starej baby, której syn był na własnem gospodarstwie w chacie sąsiedniej, a ona sama miała przy sobie tylko dziesięcioletniego, osieroconego wnuka, który miał za jedyne odzienie grubą koszulę i leżał dzień i noc na piecu pod brudnym, starym kożuchem.

Nie mogąc przełknąć cuchnącego mięsa, które nam rozdano, a mając przy sobie jeszcze kilkadziesiąt złotych, kazałem przynosić z Zamościa codziennie kilka funtów świeżego mięsa, mąki, masła a nawet wódki i prząśnego miodu, i żywiłem moich pięciu towarzyszów przez cały tydzień. Majewski, doświadczony kucharz, przyrządzał nam z mąki według przepisów kuchni angielskiej pudding, który, okraszony masłem, był wielce cenionym przez nas wszystkich. Uczta kończyła się zawsze krupniczkiem. Zgoła żyliśmy po pańsku. Niestety, jak wszystko na tym świecie ma swój koniec, tak też i my doświadczyliśmy prawdy dawnego przysłowia: — „Raz gody — drugi raz głody".

Po tygodniu szczupły mój zapas pieniężny był wyczerpany i strasznie nam mdło było na żołądku na samą myśl, że trzeba nam się kontentować nadal rozdawaną nam żywnością. Było jeszcze trochę mąki. Majewski ugotował z niej ulubiony angielski „hasty pudding", ale ponieważ nie było ani źdźbła masła, wypróżnił olej z lampy, zatkniętej przed bohomazem św. Mikołaja, usmażył w nim trochę cebuli i okrasiwszy nim swój pudding, z wielkiem zadowoleniem z swej przemyślności postawił go przed nami. Smrodliwa przyprawa taki wstręt w nas obudziła, że odepchnęliśmy miskę z odrazą. Majewski, obrażony w swej godności kucharskiej, zabrał ją, siadł przy kominku i spałaszował ją sam, unosząc się przy każdej łyżce nad wybornym smakiem wymyślonej przez siebie potrawy.

Kiedy nazajutrz wracałem z kwatery wachmistrza do mojej, ujrzałem naszą babę przed chatą. Zatrzymała mnie przy wejściu i przebąknąwszy półgłosem kilka wyrazów w swem ruskiem narzeczu, wskazała mi stajnię i kiwnęła głową, jak gdyby mi chciała dowieść, że tam coś złego się dzieje. Podszedłem i rzuciłem okiem przez szpary jurt, któremi stodoła była ogrodzoną, ale nie dojrzałem niczego. Słyszałem tylko żołnierzy, rozmawiających za kupą hreczki, którą nam na paszę dla koni przywieziono ze stert ordynata Zamoyskiego. Widocznie kobieta dostrzegła jakiś czyn zdrożny i życzyła sobie, aby żołnierze zostali zań ukarani. Ja zaś, nie będąc

bynajmniej usposobionym do dogodzenia jej złośliwej myśli, nie wszedłem wcale do stajni, a wróciwszy do chaty, rzekłem, że nie widziałem nic prócz żołnierzy, czyszczących konie. Baba spojrzała tylko na mnie z wyrazem niedowierzania i kiwając głową, poszła sobie gdzieś na zakropienie robaka. Przy wieczerzy dopiero, kiedy nam Majewski stawił na stół ogromną misę wieprzowiny, dowiedziałem się, że żołnierze moi zwabili sporego wieprzaka do stajni i tam go zarznęli pomimo groźnej kary, zapowiedzianej za podobne przestępstwa. Nie mogąc go oparzyć, Prażuch odarł go ze skóry, zawinął w nią wątrobę i bebechy, i zanurzył to wszystko w bagnie o staję drogi za wsią. Zganiłem ich surowo za krzywdę, wyrządzoną biednemu chłopkowi, ale nie miałem serca oskarżyć ich przed dowódzcą plutonu i ściągnąć na walecznych wiarusów ciękiej kary.

Od tej chwili przez cały tydzień żyliśmy na naszej kwaterze wyłącznie wieprzowiną i chlebem, zazdroszcząc naszym towarzyszom broni kartofli, których im gospodarze ich dostarczali.

Noc z czwartku na wielki piątek była tak zimną, że nie mogłem ani półgodziny wyleżeć spokojnie na glinianej, słomą pokrytej podłodze. Dla rozgrzania się przewracałem się co chwila z boku na bok i w końcu wstałem z gwałtownym bolem głowy i kłóciem w piersiach. Pomimo to, według danego mi rozkazu, wsiadłem na koń z trzema żołnierzami i wyruszyłem w drogę na sprowadzenie z trzech okolicznych wsi podwód na furaż i żywność. Za przybyciem do pierwszej wsi tak mi głowa ciężyła, że zgoła dosiedzieć nie mogłem na koniu; zdałem więc dalsze wypełnienie danego mi rozkazu na karabiniera, a sam wróciłem na Majdan i zameldowałem się oficerowi, na służbie będącemu. Przypadkiem zastałem u niego lekarza naszego dywizyonu, który mi powiedział, że mam zapalenie płuc i kazał mnie bezzwłocznie zawieść do lazaretu na przedmieściu Zamościa. Tam mnie wprowadzono do obszernej izby, przepełnionej cholerycznymi towarzyszami z piechoty. Sztabslekarz wyegzaminował mnie i kazał brodatemu żydkowi, który mu pomagał jako felczer, aby mi natychmiast krew puścił. Po skończonej operacyi zaprowadził mnie do swego gabinetu i kazał mi siąść na ławce przy piecu, a sam odszedł do innego oddziału chorych. W pół godziny potem wrócił i widząc, że cierpienie moje nie zmniejszyło się jeszcze, kazał infirmerowi zdjąć mi bandaż i wytoczył mi drugi spory talerz krwi. Tak mnie to w końcu osłabiło, że mi się mimowolnie powieki zamykały. Na znak lekarza posługacz chlusnął mi szklankę wody w twarz i tym sposobem orzeźwił mnie zupełnie.

Doktor chciał mnie zatrzymać w lazarecie, ale wymogłem tyle prośbami, że mi pozwolił wrócić do szwadronu, dał mi sporą butelkę jakiejś mixtury i zalecił przedewszystkiem, abym przez czas jakiś nie używał innego pokarmu i napoju, jak chleba, mleka i wody. Kiedym zajechał przed kwaterę, nie mogłem zleźć z wozu. Poczciwi żołnierze znieśli mnie na ręku, rozebrali i położyli na grochowinach w łóżku naszej gospodyni. Tam przeleżałem cały dzień następny. Rano w sam dzień wielkanocny Smoliński, wachmistrz naszego plutonu, przyniósł rozkaz, aby w pół godziny wszyscy byli gotowi do marszu, i oznajmił mi zarazem, że podwoda nakazana zawiezie mnie oraz chorego wachmistrza naszego szwadronu do lazaretu na Nowem mieście. Konia mego kazał oddać pod jakiegoś żołnierza, a pałasz mój polecił Brzezińskiemu przynieść do jego kwatery. — „Ach! już co do tego, to nie!“ — zawołałem — położyłem zarazem rękę na szabli, opartej przy głowie łóżka, i wstałem z mego legowiska, ale zaraz padłem na nie na wznak. Poczciwy mój Brzeziński nietylko mnie podniósł, ale ubrał, jakby dziecko, i przypasał mi pałasz. Chwiejnym krokiem skierowałem się ku kwaterze majora, ale tak byłem osłabiony, że, choć nie była dalej, jak o dwieście kroków, dwa razy musiałem siąść na grudzie, nim do niej doszedłem. Zaledwie stanąłem przy drzwiach, wyprostowany, o ile mi sił stało, major zawołał: „Siadaj, siadaj przy piecu, czego chcesz?“ — Przełożyłem moją prośbę, aby mnie nie odsyłał do lazaretu, ale przeciwnie wziął z sobą w marsz. — „Zwaryowałeś“ — zawołał przytomny dowódzca 6-go szwadronu, kapitan Sumorok — „zaledwie możesz stać na nogach, a chcesz pójść w marsz. Nie ujechawszy pół mili, spadniesz z konia i zdechniesz gdzie w rowie. Nie zezwól, majorze, na prośbę tak niedorzeczną“. — Spostrzegłszy, że major spoglądał na mnie litościwem okiem, ponowiłem moją prośbę jak najusilniej i przełożyłem, że nie mogąc umieścić się w prywatnym domu dla braku dostatecznego zasobu pieniężnego, cholera niechybnie dobije mnie w lazarecie. — „No, kiedy tak“ — rzekł major Lisiecki — „to pójdźże z nami; jeżeli gdzie ducha wyzioniesz, to odpowiesz za siebie na tamtym świecie, a na tym ja za ciebie odpowiem. Tymczasem uwalniam cię od służby na dziesięć dni, a na zakupienie tego, co ci w tej chwili jest niezbędnie potrzebnem, masz oto dziesięć złotych“.

Z głębi serca podziękowałem zacnemu dowódzcy za jego dobroć i wróciłem ku kwaterze, przed którą ujrzałem wszystko w pogotowiu do marszu. — „A cóż panie?“ — zawołał z daleka Brzeziński. — „Kulbacz konia!“ — Piorunem kilku żołnierzy rzuciło się

do stajni i zanim doszedłem do chaty, już koń mój był okulbaczony, a w kilka chwil potem wsadzono mnie nań, jak dziecko. Łaskawy wzgląd majora dla mnie rozciągnął się także na chorego wachmistrza naszego szwadronu.

Za przybyciem na Nowe Miasto (przedmieście Zamościa) kazano nam zsiąść z koni. Przy zsiadaniu Brzeziński oparł się tak ciężko na kuli od siodła, że zgniótł schowaną za nadrem butelkę z moją mixturą, i tak zostałem na łasce natury. Po odbytej przez jenerała lustracyi obeszliśmy część fortecy i niedaleko za nią, naprzeciwko tak zwanej bateryi, znów nas zatrzymano na gołem polu aż do nadejścia innych oddziałów naszego korpusu. Czas był nadzwyczaj pogodny, ale wiatr był tak zimny i przejmujący, że dla ochrony siadłem w dołku o kilka kroków od gościńca. Współczucie mych towarzyszy plutonowych objawiało się co chwila w pieczołowitości, jaką mnie stare wiarusy otaczali. Byliby dali, nie wiem co, aby ugasić okrutne pragnienie, które mnie dręczyło w owej chwili, ale na tem obszernem polu nie było ani kropli wody, musiałem więc cierpieć dalej. Kiedy już noc zapadła, chory wachmistrz, który postępował obok mnie na końcu szwadronu, oświadczył mi, że już dalej nie może wytrzymać. Będąc równie znękanym, jak i on, zwróciliśmy się obaj do pobliskiej chaty tuż pod lasem. Było to mieszkanie stróża leśnego. Żona jego otworzyła nam stodółkę i dała nam siana dla naszych koni. Sami zaś tak byliśmy znużeni, że nie myśląc o własnem posileniu, zagrzebaliśmy się obok nich w słomie i spaliśmy jak zarznięci. Ze wschodem słońca poczciwa kobieta zajrzała, jak się mamy, i zaprosiwszy nas do izby, postawiła przed nami misę ciepłego mleka z chlebem.

Tak posileni ruszyliśmy przez las za naszym korpusem, nie wiedząc, gdzie go dopędzimy. Około południa przybyliśmy do Zwierzyńca i tam z wielkiem ukontentowaniem zastaliśmy nietylko nasz dywizyon, ale większą część naszego korpusu. Brzeziński był nadzwyczaj uradowany z mego przybycia: na pocieszenie wskazał mi przy ognisku swój kociołek, w którym się gotował pokrajany indyk z jagłami, i opowiedział mi, jaką rzeź żołnierze zrządzili tegoż samego rana między nieprzeliczoną chmarą drobiu ordynata Zamoyskiego. Wątpię, aby każdy z nich był tak sprytnym, jak mój Brzeziński, który, pamiętając o mnie, jak o sobie, zdobył sobie w tej katastrofie indyka i gęś.

Nie wiem, czy z rozkazu starszego syna ordynata, czy też z własnego natchnienia wszyscy oficyaliści jego ubiegali się w daniu nam święconego. We dworze dano je dla jenerała i sztabsoficerów,

u komisarza dla niższych oficerów, u pisarza zaś i u ekonoma dla podoficerów, a żołnierzom w obozie włościanie dostarczyli nie mało mięsiwa i kołaczy. Co do mnie nie dałem się znęcić temi łakociami. Pamiętny na radę lekarza, przez dwa dni naszego obozowania w Zwierzyńcu i cały ciąg marszu dalszego na Niemirówkę i Tyszowce ku Bugowi żywiłem się tylko rosołem obozowym i mlekiem, którego mi troskliwy o mnie Brzeziński dostarczał. Dzięki tej wstrzemięźliwości i silnej konstytucyi wróciłem do zupełnego zdrowia i 9. kwietnia zacząłem na nowo pełnić służbę.

Tegoż dnia awangarda nasza wpadła nagle do Kryłowa, rozbiła dwie sotnie kozaków i wzięła przeszło siedmdziesiąt niewolnika a między tymi kilku oficerów. Ci ostatni byli widocznie w wielkim niedostatku, ponieważ zebrano na nich składkę między oficerami i podoficerami naszymi. Dnia 11-go kwietnia przeszliśmy Bug i tegoż dnia mianowany zostałem wachmistrzem 4-go plutonu.

Już ku wieczorowi, zbliżając się do Porycka, ruch w kolumnie marszowej i komenda: „Kłusem, naprzód, marsz!“ — oznajmiły nam, że Rossyanie blisko. Kłusując obok szczupłego batalionu 5-go pułku, serce się radowało, widząc tych chłopców, którzy kilka godzin przedtem szli znużeni i zgarbieni jak dziady, biegnących teraz pędem na spotkanie się z nieprzyjacielem. Gorżki żal i oburzenie ściskają serce na samo wspomnienie nieprzeliczonych podobnych objawów zapału naszego poczciwego ludu i szlachetnej gotowości do poświęcenia się, których nieufność i niedołęztwo sterników narodu nie umiały użyć na oswobodzenie ojczyzny.

Zaledwieśmy się rozwinęli na gołem polu, zwolniono pochód, rozprawa albowiem była już skończoną. Awangarda naszego korpusu wpadła niespodzianie na pułk dragonów kargopolskich pod dowództwem pułkownika Glazenapa i nietylko go rozbiła, ale położyła trupem czterdziestu kilku ludzi i zabrała około 200 jeńców z końmi i rynsztunkiem. Była to dobra wróżba dalszych powodzeń, które niestety, nie ziściły się według naszych życzeń. Obóz nasz rozłożył się niedaleko od Porycka na miejscu bardzo niedogodnem: albowiem po wodę czystą do picia trzeba było chodzić z kociołkami o blisko ćwierć mili; gotowaliśmy zatem strawę w wodzie czerpanej w pobliskich dołach, z których kopano glinę na cegłę, a w której pod dopiekającem słońcem wiosennem roiło się mnóstwo owadów.

Po przejściu Bugu aż do wkroczenia naszego do Galicyi cierpieliśmy na tej ziemi zbożodawczej Wołynia wielki niedostatek

chleba[1]). Choć bowiem zatrzymaliśmy się pod Poryckiem blisko dwa dni a pod Drużkopolem dzień cały, chleb w tych miejscach upieczony wystarczał zaledwie na udzielenie każdemu żołnierzowi w drugi dzień kawałeczka — literalnie na trzy kęsy, nic więcej. Mięsa mieliśmy podostatkiem, a słoniny i wódki co nie miara. Według rozporządzenia lekarzy dawano nam tej ostatniej potrójną racyę i zalecano jako ochronę od cholery nie pijać czystej wody, ale tylko mięszaną z wódką.

Z Porycka pomaszerowaliśmy 13-go kwietnia do Drużkopola i tam przestaliśmy dzień następny. Zjechało się tam kilku obywateli, z których jenerał złożył, jak wieść niosła, rząd prowincyonalny i dał im polecenia do spiesznego wywołania powstania.

Szesnatego kwietnia stanęliśmy pod Boremlem, gdzie większa część jazdy i artyleryi rozłożyła się obozem przy małem wzgórzu, które nas przedzielało od Styru. Most na nim został poprzednio zniesiony przez Moskali, a kozacy snuli się w oddaleniu, jakby w celu przeszkodzenia jego naprawie. Rzucono wszelakoż bezzwłocznie tymczasowy pomost i oddział piechoty naszej, przeszedłszy długą groblę, ciągnącą się przez bagnistą równinę na prawym brzegu rzeki, wypłoszył kozaków i zajął lasek za tą groblą.

Nazajutrz popołudniu dywizyon nasz robił rekonesans na prawym brzegu Styru i wrócił nad wieczorem, nie spotkawszy nieprzyjaciela. Inne dywizyony posunęły się pod Beresteczko i przez ujętych kozaków przekonały się, że to miasteczko już było zajęte przez pułk piechoty i pułk dragonów wraz z artyleryą i kozakami.

Rano następnego dnia usłyszeliśmy w obozie daleką pukaninę, która się wkrótce zamieniła w rzęsisty ogień. Był to atak Rossyan na lasek za groblą. Szczupły oddział piechoty naszej bronił go uporczywie, ale w końcu naparty przez kilka tysięcy pie-

---

[1]) Ten niedostatek był tak dotkliwym, że dnia jednego, kiedyśmy po godzinnym odpoczynku byli gotowi do dalszego marszu, a zjawiły się przed nami dwie furki z chlebem, żołnierze pomimo krzyku furyera, że były przeznaczone dla sztabu, rzucili się na nie obcesem i w gmnieniu oka rozdrapali wszystek chleb. Stojąca obok nas piechota patrzała się na to pożądliwem okiem, ale się nie ruszyła. — „Sprzedaj mi, kolego, trochę chleba“ — rzekł jeden z piechurów do ułana, mającego dwie bułki. „A czy to ja żyd, abym ci chleb sprzedawał?“ — odpowiedział ułan i rzucił mu całą bułkę. W tej samej chwili — jakby na komendę — sypnęły się bułki gradem z dywizyonu naszego między pieszych sąsiadów naszych. Zapewne przez wzgląd na ten dokuczliwy niedostatek chleba, czyn ten przeciwny karności został przez jenerała puszczony w niepamięć.

choty, musiał ustąpić. Ustępował wszelakoż jak lew, odpierając nieprzyjaciela co kilka kroków ogniem i bagnetem, a kiedy nadbiegły dwie kompanie, wysłane przez jenerała na zasłonienie odwrotu, bój stał się jeszcze zaciętszym. Tak odpierając i ustępując, podpułkownik Rychłowski, podług danej mu instrukcyi, ściągnął za sobą ściśniętą kolumnę Rossyan aż do mostu, gdzie ich przyjęto ogniem kartaczowym z dział, ustawionych między krzewami na tarasie za pałacem P. Czackiego tak skutecznie, że całe szeregi padały zmiatane, jakby kosą. W strasznym popłochu uciekali czemprędzej, aby się schronić za browar, stojący przy grobli, lecz i ci, którzy się tam schronili, jak i ci, którzy dalej zmykali po grobli, byli prażeni przez kule i granaty naszej artyleryi. Dla zasłonienia tego odwrotu Rossyanie zatoczyli pod lasem dwanaście dział i zaczęli bić na nasze. Cała szkoda, którą zrządzili, ograniczyła się na kilku dziurach w pałacu. Dwie kule ich padły nawet w obozie przed naszym dywizyonem, ale nie uszkodziły nikogo. Nasza artylerya zaś tak celnie strzelała, że w krótkim czasie zdemontowała Rossyanom pięć dział i wysadziła w powietrze kilka jaszczyków.

Popołudniu, kiedy owa kanonada ustała, dywizyon nasz odebrał rozkaz udać się spiesznie ku Beresteczku. Z pagórka za lasem spostrzegliśmy kilka sotni kozaków, na których nas widocznie wyprawiono, ale byli już tak daleko i tak spiesznie uchodzili, że major Lisiecki wstrzymał pochód i kazał zsiąść z koni. Zaledwie to nastąpiło, karabinier Grudzień, trochę podchmielony, przyczepił się do Prażucha i powiada: „Pod Zamościem skradłeś mi, złodzieju, pistolet; mniejsza o to, ale teraz skradłeś mi z worka kurę, tego nie mogę ci przepuścić“. — Rozjuszony tymi zarzutami Prażuch, wyrwał z za pasa pistolet i byłby niechybnie palnął do swego przeciwnika, gdybym go nie uchwycił za rękę i rozbroił. Byłbym zatarł całą tę sprawę, ale wachmistrz szwadronu, przechodząc właśnie w tej chwili koło nas, zapytał o co rzecz chodzi i zaraportował ją zaraz majorowi. Przywołano mnie oraz obu przeciwników przed dowódzcę, który po wysłuchaniu sprawy kazał Prażuchowi natychmiast zdjąć płaszcz oraz spencerek, a mnie, abym mu dał dziesięć płazów. Żal o dobrego żołnierza poddał mi kłamliwą wymówkę. „Proszę pana majora“ — odpowiedziałem — włożyć ten obowiązek na kogo innego, ponieważ po puszczeniu krwi mam jeszcze ramię zabandażowane i nie mogę niem władać należycie“. „To ty mu je wylicz“ — rzekł major do podchorążego Bacewicza z lekkim uśmiechem, jak gdyby odgadł prawdziwy powód mej wymówki. — Bacewicz, chcąc nie chcąc, uderzył Prażucha trzy razy lekko po ple-

cach, kiedy major zawołał: „Eh! niezgrabny jesteś schowaj pałasz do pochwy, a ty łajdaku — zwracając się do Prażucha — ubieraj się czemprędzej. Jeżeli mi się jeszcze raz będziesz odgrażał na kogo w podobny sposób, każę cię rozstrzelać“. Wróciliśmy wszyscy kontenci z takiego zakończenia sprawy do plutonu i dwie godziny później stanęliśmy na stanowisku poprzedniem w obozie pod Boremlem.

Tam mnie czekała nader smutna wiadomość. Ciekawy szczegółów długiej walki porannej, pobiegłem do batalionu 1-go pułku p. lit. i z wielkim żalem dowiedziałem się od adjutanta batalionowego, że mój drogi przyjaciel, Polański, poległ w tej rozprawie. Ranny kilka razy, padł na grobli w czasie odwrotu. Żołnierze chcieli go unieść z sobą, on zaś czując, że rany były śmiertelne, prosił ich, aby go zostawili na miejscu, a myśleli tylko o sobie. Skoro Rossyanie, rozjuszeni swą stratą, przypadli do niego, pchnęli go — według opowiadania żołnierzy — kilka razy bagnetami i tem położyli koniec jego cierpieniom. Z zbolałem sercem wróciłem do mego szwadronu i przez długi czas nie mogłem się oswoić z myślą, że już nigdy nie zobaczę mego zacnego, miłego towarzysza[1]).

Po godzinie 10-tej kazano pogasić ognie i wsiąść na koń. Przestaliśmy tak całą noc nieruchomi i gotowi do boju i z brzaskiem dywizyon nasz wysłano za wieś Nowosiółki, o kilka wiorst od Boremla, gdzieśmy zluzowaii stojący na grangardzie dywizyon 4-go pułku ułanów. Nowosiółki były zajęte przez kilkuset strzelców pod dowództwem kapitana Łabędzkiego z 1-go pułku piechoty lit., my zaś stanęliśmy nieco na lewo po za wsią i rozsypaliśmy naszych flankierów naprzeciw łańcuchowi kozaków, za którym płaszczyzna, rozciągająca się od Boremla, schylała się przez dębinę ku Styrowi. Nie wiedzieliśmy przeto, jaka znajduje się siła za kozakami, wieść tylko nas doszła, że za tym łańcuchem cały korpus Rydygiera przeprawia się na lewy brzeg Styru pod Hrynikami. Spodziewaliśmy się zatem, że niewidzialny dotąd nieprzyjaciel wystąpi lada chwila z przemagającemi siłami. Po kilkugodzinnej bezskutecznej pukaninie ogień flankierski ustał z obu stron około 9-tej godziny, a flankierzy nasi i kozacy wstrzymali dalszy ruch i patrzyli się spokojnie jedni na drugich.

---

[1]) W kilka lat później doszła mnie na emigracyi wieść (Bóg wie, czy uzasadniona), jakoby Polański nietylko przyszedł do siebie, ale po amputacyi nogi wrócił znów na Podole do swej familii.

Niedługo potem adjutant ze sztabu przywiózł do majora Lisieckiego sztandar biały z napisam: „Za naszą i waszą wolność!“ oraz paczkę odezwy do Rossyan, wydrukowanej dnia poprzedniego w pałacu boremelskim pod kierunkiem X. Puławskiego, z rozkazem, aby sztandar i odezwę rzucono między Rossyan. Grudzień, któremu major zlecił wykonanie tego rozkazu, ruszył z kopyta do najbliższego kozaka. Kozak w nogi. Nasz karabinier zwraca konia na prawo do drugiego, a widząc, że i ten ucieka, goni za nim, wołając: „pastoj!“ Kozak, choć zwolnił galop, spoglądał z niedowierzaniem za siebie i nie zatrzymał się dlatego. Grudzień więc rzucił za nim sztandar wraz z paczką odezwy i wrócił do szwadronu. Skoro się oddalił, kozacy nadbiegli, podnieśli dzidami paczkę oraz sztandar i obejrzawszy go, znikli w dolinie za swym łańcuchem.

W godzinę później zjawił się na ich lewem skrzydle oficer od huzarów, zatrzymał się na pagórku i powiewając białą chustką, dał znać, że życzy sobie parlamentować. Na ten znak porucznik Mazaraki, dowódzca 3-go plutonu w naszym szwadronie, wraz z innym oficerem i wachmistrzem Danielewiczem podjechali natychmiast do niego. Na zapytanie, w jakim celu rzucono między kozaków sztandar i odezwy, oficerowie nasi wytłómaczyli mu, że celem naszego powstania było oswobodzenie nietylko Polski, ale i Moskwy z pod nieznośnego jarzma carskiego. „Przekonani jesteśmy o słuszności waszej sprawy — rzekł wtenczas ów młody, chrestami i medalami obsypany oficer — ale usiłowania podobne w celu zdemoralizowania wojska naszego zostaną bezowocne, ponieważ żołnierze nasi nie umieją czytać, a co do nas oficerów, uczucie honoru i obawa skompromitowania naszych rodzin nie pozwalają nam opuszczać naszych sztandarów“. W ciągu tej rozmowy oficer rossyjski zrobił uwagę, że konie nasze są bardzo wychudłe. „Być to może“ — odparł porucznik Mazaraki — „ale na tych koniach pobiliśmy już korpusy Geizmara i Kreutza, mamy więc nadzieję, że pobijemy i was, jeżeli się dziś z sobą spotkamy“. Na to ów parlamentarz samozwany uśmiechnął się z niedowierzaniem i zapewnił naszych oficerów, że spotkanie to nie będzie miało miejsca tegoż dnia, ponieważ jenerał Rydygier nie wydał żadnego rozporządzenia, zapowiadającego bliską bitwę. Na tem zakończyła się rozmowa.

Zdaje mi się, że ów oficer, rodem Kurlandczyk, nie zjawił się z własnej ochoty, albo tylko przez ciekawość osobistą, ponieważ cel owego sztandaru i odezwy był nadto widoczny, ale był wysłany umyślnie na wymiarkowanie ducha w naszem wojsku i uśpienie

w niem czujności przez zapewnienie, że tegoż dnia nie będzie miała miejsca żadna bitwa. Zaledwie bowiem upłynęło pół godziny, kiedy nagle ujrzeliśmy czarną długą linię na brzegu płaszczyzny za Nowosiółkami. Był to niemal cały korpus Rydygiera w szyku bojowym. Widzieliśmy, jakby na ręku, dwie baterye, które w mgnieniu oka odprzodkowały swe działa na jego prawem skrzydle. — „Cóż panowie sądzicie“ — zapytał major Lisiecki otaczających go oficerów — „czy mam posłać raport do jenerała i pozostać na miejscu, czy też mamy zaraz zabrać się do odwrotu?“ — Nim który odpowiedział na to pytanie, ryknęło kilka dział i kule, padające przed naszym frontem, okryły nas piaskiem. — „Trąb zbiór!“ — zawołał major na trębacza. Na ten sygnał flankierzy zebrali się galopem i zajęli swe miejsce w szwadronie. — „Trzema na lewo w tył, zachodź! Kłusem!“ — Dla wytłómaczenia tego odwrotu spiesznego muszę tu dodać objaśnienie topograficzne. Ową obszerną płaszczyznę między Boremlem a dębiną nad Styrem przerzynał jakby długi wał graniczny z ziemi, dotykający w linii prostopadłej Nowosiółek i dosyć stromy od strony, gdzieśmy stali na grangardzie. Były w nim na kilka łokci szerokie przeście tuż pod samą wsią. Wypadało więc przedewszystkiem przebyć tę zaporę, inaczej obskoczeni przez chmarę jazdy nieprzyjacielskiej nie byłaby wyszła z nas ani noga.

W kilka chwil oba szwadrony stanęły w ściśniętej kolumnie przy wspomnianym otworze i przebyły go galopem, nim artylerya rossyjska zmieniła kierunek swych strzałów w to miejsce, dla nas tak niebezpieczne. Pierwszy granat, który padł w róg stodoły przy tym otworze, zabił nam tylko kilka koni i ranił lekko kilku żołnierzy w ostatnich szóstkach; a adjutant dywizyonu, porucznik Okęcki, został kontuzyowany w kark. Ogień nieprzyjacielski był odtąd tak żywym, że dalszy nasz odwrót byłby się może zamienił w haniebną ucieczką, gdy porucznik Mazaraki nie puścił się, jak strzała, przed tą kupą zmięszaną, wołając groźnym głosem: „Stój równaj się! — Pysk przetnę pierwszemu, który będzie uciekał“. Wszyscy zatrzymali się jak wryci i cały dywizyon stanął w porządku frontem do nieprzyjaciela. Od tej chwili oba szwadrony, przedzielone odstępem plutonowym, odbyły dalszy odwrót w szachownicę krokiem tak wolnym, jak gdybyśmy szli za trumną, a na lewem skrzydle naszem cofali się z Nowosiółek celni strzelcy [1]). Aby nie

---

[1]) Oddział ten, sformowany w czasie kilkunastu dni konsytencyi naszej pod Zamościem, składał się z okolicznej służby leśnej woje-

wystawić swych ludzi na wielką stratę, dowódzca ich, kapitan Łabędzki, rozsypał ich wszystkich, a sam za nimi szedł spokojnie, jak gdyby na przechadzce, choć ogień licznej artyleryi moskiewskiej był skierowany na nasze dwa oddziały, liczące razem około 500 ludzi.

Kiedyśmy się tak rejterując zwolna, zbliżyli do Boremla, ujrzeliśmy jazdę naszą uszykowaną w dwie linie, a jenerał Dwernicki, stojący na czele, tak był uradowanym ze spokojnego odwrotu naszego, że nas przywitał okrzykiem: „Niech żyje 1-szy pułk ułanów!“ — i wszystkie szwadrony powtórzyły go za nim. Kazano nam stanąć w trzeciej linii, a pierwsza posunęła się naprzód do ataku.

W pierwszej zaraz szarży dwa dywizyony krakusów Kościuszki i 2-go pułku ułanów rozbiły dwa pułki dragonów i huzarów i zabrały szesnaście dział, ale uniesione zapałem pędziły tak zapalczywie za nieprzyjacielem, że w nieporządku wpadły na bateryę rezerwową, która ich celnymi strzałami kartaczowymi zmusiła do odwrotu. Rozbita jazda rossyjska, na nowo sformowana, nadaremnie im zastąpiła drogę. Została znów rozbitą, ale świeży pułk huzarów achtyrskich zdołał wszelako odbić zabrane przez naszych działa.

Od tej chwili pierwsza i druga linia jazdy naszej szarżowały na przemiany dywizyonami na całe pułki. W jednej z tych szarż zabójczych, w której sam jenerał Dwernicki wziął udział, koń ranny pod nim upadł, a jenerał byłby pewnie został zarąbanym przez huzarów, gdyby porucznik Baum z 4-go pułku ułanów, który w tym momencie wpadł na Rossyan, nie podał mu swego konia. W ciągu tego nieustannego zaciętego boju Rossyanie stracili ośm dział, których pomimo wszelkich wysileń już nie zdołali odbić.

Niedługo po rozpoczęciu bitwy dywizyon nasz dostał rozkaz wzmocnienia majora Wierzchlejskiego, który z dywizyonem 3-go pułku ułanów zasłaniał tył naszego korpusu na drodze do Beresteczka, ale zaledwieśmy uszli pół ćwierci mili, nowy rozkaz przywołał nas na poprzednią pozycyę. Większą ponieśliśmy szkodę

---

wództwa lubelskiego. Nie stało nawet czasu a może nawet i sukna na ubranie go w sposób jednakowy. Jednyi byli w sukmanach krótkich, inni w katankach płóciennych. Pomimo to mógłby był oddać znakomite uługi, ponieważ lud był dziarski, oswojony z bronią i chętny do boju za ojczyznę. Na nieszczęście arsenał w Zamościu nie mógł dostarczyć lepszej broni nad krótkie, niedaleko niosące karabinki.

w tem miejscu, aniżeli w czasie wolnego odwrotu pod ogniem kilkunastu dział, jeżeli nie w ludziach, to w koniach, ponieważ kule rykoszetujące obrywały im nogi. Jedna z nich zabiła konia pod kapitanem Sumorokiem, dowódcą 6-go szwadronu. Nie wyjmując nawet z ust lulki, którą w tej chwili palił, przesiadł się na konia żołnierskiego i stał dalej przed frontem spokojnie, jak gdyby mu się nic nie przydarzyło.

Jak już powiedziałem, nic nie mogło się oprzeć waleczności naszej jazdy. Na wszystkich punktach rozbijała rossyjską, choć trzy razy liczniejszą, i w uniesieniu swojem pędziła za nią przez całą płaszczyznę boremelską aż pod las, ale właśnie ten zapał niepohamowany, który w innym razie mógł zniszczyć cały korpus Rydygiera, naraził nas na dotkliwe straty. Ścigając Moskali aż za Nowosiółki, szwadrony nasze zostały tam kilka razy zdziesiątkowane przez żywy ogień artyleryi rezerwowej i piechoty, ustawionej za wysokimi opłotkami. Pierwszy batalion tej piechoty, debuszujący z Nowosiółek, został wprawdzie rozbity i w części zabrany do niewoli, ale siły nasze nie starczyły na zniesienie innych, które, posunąwszy się naprzód na lewem skrzydle rossyjskiem, stanęły w czworobokach i służyły za tarczę, pod której zasłoną rozbite pułki jazdy formowały się na nowo. Aby pozbawić nieprzyjaciela tego schronienia, trzeba było kilku batalionów starej piechoty albo ośm szwadronów świeżej jazdy. Serce naszego walecznego wodza musiało się ściskać z żalu w owej stanowczej chwili, albowiem nie miał ani jednej, ani drugiej. Pewno nie wiedząc dokładnie, w jakiej sile tam byli Rossyanie, wyprawił na ten punkt nasz dywizyon. Przejechaliśmy mały pagórek i ujrzeliśmy przed sobą łańcuch flankierski czerwonych huzarów księcia Oranii. Skoro nas spostrzegli, zebrali się galopem na lewo i na prawo i odsłonili dwa bataliony piechoty w czworobokach jeden przy drugim. W mgnieniu oka z jednego i drugiego przywitano nas tak żywym ogniem kartaczowym, że dowódca nasz, nie czując się dosyć silnym na zniesienie tak przemagającej siły piechoty, wspartej przez artyleryę i konnicę, zakomenderował odwrót. Pagórek, któryśmy co tylko przebyli, zasłonił nas od dalszych strzałów. Gdyby nas było choć trzy szwadrony więcej, bylibyśmy niechybnie rozbili i zabrali do niewoli te dwa bataliony i tem samem zniszczyli to, co stanowiło właśnie główny punkt oparcia Rossyan na tem miejscu.

Było już ku schyłkowi dnia, kiedy nagle burza wiosenna przeszła nad polem bitwy, a z deszczem, który jej towarzyszył, ustał i ogień. Rossyanie cofnęli swą piechotę wraz z artyleryą do

Nowosiółek, a jazda ich stanęła dalej pod lasem między tą wsią a Hrynikami. My zaś stanęliśmy w linii bojowej na placu bitwy.

Wśród radości z odniesionego zwycięztwa nie mogliśmy się wszelako otrząsnąć z żalu nad poległymi towarzyszami broni, których nie mieliśmy kim zastąpić, gdy tymczasem nieprzyjaciel ściągał zewsząd posiłki, szczególnie w piechocie, której mieliśmy zaledwie tysiąc ludzi.

Przez całą noc kowale byli zajęci naprawą kół u jaszczyków i furgonów, a z brzaskiem cały korpus ruszył w marsz do Beresteczka. Dywizyon nasz wraz z dywizyonem 2-go pułku ułanów i plutonem piechoty szły w aryergardzie. Zaledwie uszliśmy jakie pół ćwierci mili, Rossyanie rzucili kilka kul armatnich za nami w kierunku wozów, na których wieziono rannych, ale nie zrządzili nam żadnej szkody. Pułk kozaków, zajmujący Beresteczko, uciekł na pierwszy widok naszej awangardy. Przeszliśmy Styr w bród i stanęliśmy tegoż dnia obozem pod Chocimiem. Dalszy nasz marsz był skierowany na Radziwiłłów i Poczajów, gdzie na pokrzepienie żołnierzy OO. Bazylianie nie szczędzili ani żywności, ani napoju. Podobno nawet oddali wszystkie swe konie na zastąpienie tych, które już nie były zdatne do dalszej służby [1]).

Sądziliśmy, że, będąc tak blisko Krzemieńca, zajmiemy to miasto, ale pokazało się, że tam już była część korpusu Rydygiera. Kozacy zaś, którzy nas tropili od Beresteczka, pokazywali się już na naszem lewem skrzydle, spodziewaliśmy się więc, że lada chwila przyjdzie do nowej bitwy. Widocznie i jenerał podzielał to przewidywanie, ponieważ na rannym odpoczynku 23. kwietnia, wyrażając w krótkiej przemowie nieograniczone zaufanie w naszą odwagę, upomniał nas, abyśmy w pierwszej szarży na artyleryę nie zatrzymywali się przy działach, lecz pędzili dalej, aby zabrać jaszczyki z amunicyą.

Ożywieni duchem dzielnego wodza, wszyscy byliśmy gotowi wykonać jego rozkaz, ale Rossyanie nie dali nam sposobności, dopiero 25. kwietnia po złączeniu się korpusów Kajzarowa i Rydygiera. Tegoż dnia przed południem zaczepili naszą ariergardę niedaleko od wsi Lulińce. Przyspieszyliśmy nieco pochód i w kilka chwil stanęliśmy wraz z artyleryą w szyku bojowym na wyniosłem

---

[1]) Według wieści, która nas doszła w kilka dni później, OO. Bazylianie zostali za ten czyn patryotyczny natychmiast wywiezieni w głąb Rossyi.

polu, mając tył oparty o granicę austryacką, oba zaś skrzydła dotykały do lasu, obsadzonego przez naszą piechotę.

Pomimo przeważającej siły Rossyanie nie śmieli na nas uderzyć. Dwa tylko pułki kozaków i huzarów zbliżyły się do naszej pozycyi i manewrowały widocznie w celu wywabienia nas od granicy austryackiej na obszerne pola, których widnokrąg czernił się masami ich piechoty i jazdy. Nie daliśmy im długo czekać. Ruszyliśmy w kilka dywizyonów przez lasek na lewem skrzydle, aby wpaść na nich znienacka, ale skoro nas spostrzegli, cofnęli się pod futor, położony za długim i głębokim parowem. Skorośmy stanęli nad nim, dwa działa artyleryi naszej pod dowództwem porucznika Lipskiego tak skutecznie przywitały wyzywających nas śmiałków kartaczami i granatami, że się rozbiegli, jak chmara wróbli, i uciekali, jakby ich djabli gonili. Wróciliśmy na naszą pozycyę i tam przestaliśmy pod bronią wśród gwałtownej burzy aż do wieczora.

Piechota nasza była okrutnie znużoną, a konie nasze były wychudłe i po większej części odsednione. Nadto od przeszło 24 godzin nie mieliśmy ani furażu, ani żywności. Dopiero 26-go za staraniem okolicznych obywateli galicyjskich przyprowadzono do naszego obozu kilkanaście sztuk bydła i nieco furażu, ale wśród niedostatku, który nam dokuczał, była to, jak mówią, psu mucha.

W położeniu tak krytycznem nie pozostawało nam, jak tylko przebojem przełamać otaczające nas obszerne półkole wojska rossyjskiego, które obu skrzydłami dotykało granicy austryackiej. Byliśmy gotowi do tej rozpaczliwej walki, ale nie przyszło do niej. Pamiętni poprzednich porażek Rossyanie, pomimo ośm razy liczniejszych sił [1]), nie mieli jeszcze odwagi zaatakować nas od frontu.

Nad ranem 27-go kwietnia rozbiegła się wieść między nami, że Rossyanie porąbali straż graniczną austryacką, złożoną z włościan, uzbrojonych w kosy, i że znaczne oddziały jazdy rossyjskiej wkraczają na obu skrzydłach do Galicyi w celu zajęcia nam tyłu. Niebawem wiadomość ta została stwierdzoną przez dwóch oficerów austryackich i równocześnie kolumny piechoty rossyjskiej zaczęły się zbliżać coraz więcej. Wtenczas dopiero jenerał, widząc się wskutek tak haniebnego zgwałcenia terytoryum na pozór neutralnego obsaczonym ze wszech stron, wydał rozkaz do cofnięcia się

[1]) Korpusy Rydygiera i Kajzarowa wynosiły razem do 24.000 ludzi, a jenerał Roth zbliżał się forsownymi marszami z Mołdawii na czele 8.000 wojska, aby nam zastąpić drogę na Podole.

do Galicyi. Zaledwieśmy przeszli granicę, kiedy huzarzy Rydygiera wpadli na żołnierzy piechoty naszej, eskortujących wozy z rannymi i chorymi i porąbali ich. Drogo ich kosztował ten czyn heroiczny, ponieważ jeden z naszych dywizyonów przypuścił natychmiast szarżę na Rossyan i zakłół im przeszło czterdziestu ludzi. Szarża ta byłaby może dała początek do ogólnej bitwy, gdyby przybycie szwadronu huzarów węgierskich nie położyło końca tej walce. Odwrót nasz dalszy odbył się stępo w szachownicę, a Rossyanie, uszedłszy za nami powoli jakie ćwierć mili, zatrzymali się i w końcu zwrócili się przez granicę na pozycyę, którąśmy poprzednio zajmowali.

Komendant siły zbrojnej austryackiej w obwodzie tarnopolskim, pułkownik Fack, żądał podobno, abyśmy natychmiast broń złożyli, a kiedy mu jenerał wręcz oświadczył, że tego nie uczyni bez wyraźnego rozporządzenia rządowego z Wiednia, wskazał mu na rozłożenie obozu naszego wieś Klebanówkę.

Zuchwałe przekroczenie granicy państwa austryackiego nakazywało jenerałowi Dwernickiemu mieć się na ostrożności; wysyłał zatem częste patrole na obserwacyę Rossyan. Porąbanie zaś galicyjskiej straży granicznej wyrodziło w nas mniemanie, że rząd austryacki, oburzony na tak zbrodnicze zgwałcenie neutralności, pozwoli nam przejść przez Galicyę bez broni i że tę każe także odstawić do granicy Królestwa. Niedługo łudziliśmy się tą płonną nadzieją. Nagle rozbiegła się między nami wieść, że każą nam złożyć broń, a nas odprowadzą jako niewolników do fortec na Węgrzech. Wieść ta sprawdziła się, jakby na urągowisko naszemu nieszczęściu, w rocznicę wiekopomnej konstytucyi 3-go Maja. Dnia tego powtarzano z pewnością, że następnego dnia mamy broń składać, a wedety huzarów, rozstawione na krańcach naszego obozu, stwierdzały tę wieść fatalną. Żal rozpaczliwy ogarnął wszystkich, i niejeden wiarus zalewał się łzami.

Taki był koniec świetnej kampanii szczupłego korpusu jen. Dwernickiego. Wyprawa jego w południowe prowincye zabranego kraju mogła w znacznej części, jeśli nie zupełnie, naprawić nieodżałowaną szkodę, wyrządzoną narodowi polskiemu przez brak wiary w swoje siły i bezczynność dyktatora Chłopickiego.

Ludzie nieświadomi rzeczy albo przewrotni zwalają całą winę smutnego końca wyprawy na Ruś na jenerała Dwernickiego, zarzucając mu, że po bitwie boremelskiej dalszym pochodem nad granicą galicyjską nie dał mieszkańcom sposobności do powstania. Pytanie: jakąż miał rękojmię albo zachętę do podobnego kroku,

który bez powstania wprowadziłby go w matnię pomiędzy korpusy Rydygiera i Kajzarowa. Czy porwał się choć jeden powiat na tyle Rydygiera do broni? Ani jeden. Czyja w tem wina? Nie tyle Wołynian, jak raczej Rządu narodowego i naczelnego wodza. Jak poprzednio Chłopicki oświadczył, że nie ma ani jednej skałki dla Rusi i kazał jej siedzieć cicho, tak i po jego fatalnej dyktaturze nie zrobiono żadnego kroku rozumnego, aby użyć dla dobra kraju gotowości do walki trzech wschodnio-południowych prowincyi i nadać ich powstaniu pewien kierunek. W końcu przecież wyprawiono na ten cel jako upoważnionego agenta rządowego, niejakiego Chrościkowskiego, który kilkakrotnie naznaczał sprzysiężonym termin ogólnego powstania, a w kilka dni później odraczał go do dalszego czasu. Matacz ten skompromitował tym sposobem tylu obywateli, że przekupiony przez Rossyan zdrajca nie mógłby ściągnąć na kraj większych nieszczęść. Na niego też, czyli raczej na władzę, która go wybrała za swego przedstawiciela, spada cała wina, że jen. Dwernicki, zamiast podpory powstańczej, znalazł na Wołyniu głuchą spokojność i w końcu po stratach dotkliwych, poniesionych w zwycięzkiej rozprawie pod Boremlem, obsaczony przez ośm razy liczniejszego nieprzyjaciela, ujrzał się w smutnej konieczności schronienia się do Galicyi.

III.

Powrót do Warszawy. Wyprawa na Litwę a następnie w województwa sandomierskie i krakowskie pod dowództwem jen. Samuela Różyckiego.

Nie chcąc być świadkiem żalu, towarzyszącego złożeniu broni, zmówiłem się z Wyżewskim, Jakubowskim, Brzezińskim, Bacewiczem i obywatelem jednym z Wołynia, który na kilka dni poprzednio był przystał do naszego szwadronu, że tegoż samego wieczora udamy się w drogę do Królestwa.

Skoro noc zapadła, pożegnaliśmy się z towarzyszami broni i zeszliśmy do rowu, ciągnącego się wzdłuż lasu, w którym część jazdy naszej była rozłożoną. Aby uniknąć baczności wedet austryackich, ciągnęliśmy dalej gęsiego na czworakach przynajmniej jakie kilkaset kroków poza łańcuch huzarów. Wtenczas dopiero wynurzyliśmy się z rowu i poszliśmy dalej wskróś przez pola do pierwszej wsi. Zatrzymaliśmy się przy opłotkach, obawiając się wpaść w ręce żołnierzy, tylko Wyżewski i Jakubowski, jako obeznani z narzeczem ruskiem, podsunęli się do najbliższej chaty i zapukali nieśmiało w okienko. — „Kto tam?“ — wrzasnęła kobieta po polsku. — „Stachu! ktoś się dobija do nas, pewno złodziej.“ — Stach, młody, silny włościanin, otworzył natychmiast drzwi i dowiedziawszy się, o co nam idzie, poprowadził naszych posłanników do ogrodu za dworem, a sam pod pozorem jakiegoś interesu gospodarskiego wywołał pana, który w pokoju bawialnym siedział z oficerem austryackim przy herbacie.

W mniej niż półgodziny po rozmowie z dziedzicem siedzieliśmy już na wozie parokonnym, który nas przez noc podwiózł jakie trzy mile do innego obywatela. Od tej chwili jechaliśmy podwodami dworskiemi wzdłuż granicy Wołynia, omijając starannie wszelkie miasta. Tak jadąc manowcami, przejechaliśmy o pół mili

od Sokala i stanęliśmy nareszcie we wsi ......, należącej do p. Kownackiego. Zastaliśmy tam już dwudziestu kilku ochotników i towarzyszów broni z korpusu Dwernickiego. Kilku oficerów umieszczono we dworze, nas zaś schowano w gumnach, zaleciwszy przedewszystkiem, abyśmy ani łba nie wytykali, ponieważ cała okolica była zalaną szwoleżerami austryackimi, którzy tworzyli łańcuch kordonowy na granicy Królestwa Polskiego. Czwartego wieczora, kiedy księżyc był na nowiu, wyruszyliśmy około godziny dziesiątej pod przewodnictwem przemycarza w drogę ku granicy. Po dość długim marszu wśród głuchego milczenia, po krętych drożynach i ścieżkach, przewodnik nasz zatrzymał się na bagnistej łące i polecił nam, abyśmy na czworakach, jeden za drugim, postępowali. Tym sposobem przeczołgaliśmy się między dwiema wedetami przez granicę.

Powróciwszy do Warszawy, dowiedziałem się, że jenerał Niesiołowski zbiera oddział ochotników, którzyby chcieli pójść z nim na instruktorów do powstania litewskiego. Postanowiłem od razu zaciągnąć się do tego oddziału. Udałem się do sztabu jen. Niesiołowskiego na placu Zygmunta i tam ujrzałem przed sobą jego dwóch adjutantów, moich kolegów szkolnych i uniwersyteckich, Leopolda Poletyłłę i młodszego Miączyńskiego. Zapisali mnie na listę ochotników i radzili mi udać się w kilka dni na miejsce zbioru do Tarczyna.

W Tarczynie zastałem już kilku kolegów uniwersyteckich: Guzowskiego Andrzeja, Dziewickiego Seweryna, Szymańskiego Napoleona i Zgórskiego Adolfa, oraz kilkunastu towarzyszów z korpusu Dwernickiego: między innymi Kostkowskiego Wojciecha z 2-go pułku ułanów, Ułkowskiego Franciszka, dwóch braci Dydyńskich i Koszuckiego, Poznańczyków, ze szwadronu krakusów Kościuszki.

Szwadron czyli raczej półszwadron oficerów składał się także w znacznej części z oficerów korpusu Dwernickiego, którzy z lancą w ręku służyli jako szeregowcy. Niemal każdy żołnierz w tym szwadronie odznaczył się później osobistą śmiałością nad wszelkie pochwały. Pomiędzy najwaleczniejszymi odznaczyli się major Psarski z 3-go pułku szasserów, Szymański i Zgórski z jazdy podlaskiej, major Bobowski (Galicyanin), podpułkownik Ułan, kapitan Bielak i kilkunastu innych Tatarów, których nazwisk nie pamiętam.

W tydzień później przeprowadzono nasz szwadron do Raszyna.

W celu zaopatrzenia się w jaki taki zapasik pieniężny, udałem się za urlopem dwudniowym do Warszawy, do mej opiekunki, pani Walfers. Byłem świadkiem powrotu części korpusu Jankowskiego po haniebnem sprawieniu się jego w wyprawie na Rydygiera nad Wieprzem. Był to smutny widok, smutniejszy nierównie niż powrót z pod Ostrołęki. Powszechna panowała ponurość na twarzach żołnierzy, bo każdy z nich czuł się poniżonym i sponiewieranym przez niedołęztwo, a nawet może zdradzonym przez wiarołomstwo dowódcy.

Przy tej sposobności poszedłem złożyć uszanowanie moje zacnemu przyjacielowi mego stryja, podpułkownikowi J. Paszkowskiemu, byłemu profesorowi w szkole aplikacyjnej, który naówczas był dyrektorem młyna prochowego w Potoku. Czcigodny patryota wyłożył mi, jakby na dłoni, błędy popełnione przez Chłopickiego, przez Rząd narodowy i jego dyplomatyczne wyczekiwania, a szczególnie przez Skrzyneckiego, którego rażąca nieudolność od wyprawy pod Wawr i mitręga zbrodnicza popychały nas powoli do niechybnego upadku. „Prądzyński tylko“ — rzekł w końcu — „mógłby nas ochronić od niego, ponieważ — choć nie bez ale, i może zbyt ambitny — wierzaj mi, on jeden jest najzdolniejszym między naszymi jenerałami. Jego ambicya nawet byłaby mu silnym bodźcem do energicznego działania. Smutny, bardzo smutny przewiduję koniec dla naszej sprawy, jeżeli Sejm i Rząd nie powierzą spiesznie naczelnego dowództwa Prądzyńskiemu.“

Pod wrażeniem tej proroczej przepowiedni wróciłem smutny do Raszyna. W dwa dni później przybył przeznaczony na dowódcę szwadronu naszego kapitan Wysocki (zdaje mi się Hipolit) z 2-go pułku szasserów. Dowództwo nad tym oddziałem oraz nad szwadronem oficerskim i kompanią piechoty, złożoną z oficerów i podoficerów, czyli tak zwaną legią litewską, objął pułkownik Obuchowicz Franciszek, kawaler maltański, odznaczający się nietylko wzrostem i urodą, ale wykształceniem i słodkim charakterem.

Większa część młodzieży w powyższych oddziałach odznaczała się wykształceniem, patryotyzmem i gotowością do wszelkich poświęceń, ale konie były nędzne, a i przyrząd nie wiele lepszy. Przez wzgląd na taki stan rzeczy a może też na swój wiek podeszły i stargane siły jenerał Niesiołowski zrzekł się dowództwa nad tą wyprawą na Litwę. Oddano je zatem pułkownikowi Różyckiemu (Samuelowi), który się był odznaczył pod Kockiem w wyprawie Jankowskiego na Rydygiera.

Dnia 11. lipca legia litewska wyruszyła z Raszyna i przeszedłszy Warszawę, stanęła pod wieczór obozem pod Wiązownią wraz z batalionem strzelców wolnych Kuszla, szwadronem jazdy kaliskiej i dwoma trzyfuntowemi działami, razem około 800 ludzi. Pozostaliśmy tam trzy dni, ponieważ jenerał Rybiński odebrał rozkaz z dywizyą swoją oczyścić okolicę z snujących się znacznych oddziałów rossyjskich i otworzyć nam przez nie drogę ku Bugowi.

Dowódca naszego szwadronu, kapitan Wysocki, przejęty duchem konstantynowskim, według którego grubijańskie, bydlęce traktowanie żołnierzy i podwładnych było główną podstawą karności, od pierwszego dnia przybycia swego zaczął obchodzić się z nami w sposób dokuczliwy. Pod Wiązownią zbeształ młodego ochotnika z Galicyi za jakieś małe mimowolne przewinienie i kazał mu stać na miejscu przez kilka godzin z 6 lancami na każdem ramieniu. Postępek ten wywołał powszechne oburzenie w całym szwadronie, który wysłał mnie wraz z Rostkowskim i Ulkowskim w deputacyi do pułkownika Różyckiego z prośbą, aby dla uniknienia podobnego brutalstwa był łaskaw przeznaczyć nam innego dowódzcę. Stanąwszy przed dowódcą wyprawy, przełożyłem mu imieniem mych towarzyszów prośbę naszą w wyrazach pełnych uszanowania. Pułkownik Różycki zrobił kilka uwag nad potrzebą rygoru wojskowego, przyrzekł, że rozpatrzy się w naszem zażaleniu i kazał nam wrócić do obozu.

Przedstawieniu naszemu byli obecni: podpułkownik Obuchowicz i kilku innych oficerów ze sztabu. Domyślam się, że łagodny charakter pierwszego przemógł na wahającym się umyśle dowódcy, albowiem w godzinę później kapitan z czasów napoleońskich (którego nazwiska nie pamiętam) objął dowództwo nad nami. Był to oficer sprężysty, ale w obejściu bardzo przyzwoity. Zmiana ta wielkie sprawiła między nami ukontentowanie, ale nie trwała jak dwa dni. Zły duch w osobie jakiegoś rossyjsko-służbistego adjutanta, albo też własny jego słaby charakter, podsunął pułkownikowi myśl, że ustępstwem swojem nadweręży podstawę karności; zaledwieśmy bowiem ruszyli w dalszy marsz ku Mińskowi, cofnięto nowego dowódcę naszego szwadronu i przysłano nam dawnego. Powszechna opanowała nas ponurość. O ile ustępstwo pułkownika Różyckiego mogło być ganione przez niektórych oficerów konstantynowskich, jako znamię słabości charakteru, o tyle przykrzejsze wrażenie zrobił na nas przekor, z jakim narzucił nam człowieka znienawidzonego. Odtąd postępowanie Wysockiego było oględniejsze. Wątpiliśmy atoli, aby ta zmiana w nim była szczerą i w samej rzeczy

przekonaliśmy się później, że był fałszywym, tchórzem i rabusiem.

Pod Mińskiem spotkaliśmy oddział jeńców, prowadzony do Warszawy. Żołnierze zdawali się być kontenci, że się wyrwali z pod kijów carskich; oficerowie byli smutni, a najmłodszy między nimi spozierał na nas wzrokiem zawziętym a nawet wzgardliwym. Kiedyśmy już byli gotowi do dalszego pochodu, ujrzeliśmy nagle na gościńcu pojazd czterokonny, z którego wysiadł jakiś jenerał, wsiadł na konia i podjechał ku nam. Był to naczelny wódz Skrzynecki. Po odbytej lustracyi zatrzymał się przed naszym szwadronem. Zamiast nam wyrazić w kilku dobitnych wyrazach zaufanie swoje, że jako prawi synowie Polski wypełnimy obowiązek względem ojczyzny, wyliczył nam w rozwlekłej mowie niebezpieczeństwa, na jakie będziemy wystawieni, i na pociechę dodał, że będzie się modlił za nami gorąco do Najśw. P. Częstochowskiej, królowej Polski.

W dalszym marszu naszym nie spotkaliśmy żadnego znacznego oddziału nieprzyjacielskiego i 22-go lipca z brzaskiem stanęliśmy nad Bugiem naprzeciw Drohiczyna. Pod zasłoną gęstej mgły jazda kaliska oraz nasze dwa szwadroniki ochotników przeszły rzekę po części w bród, po części w pław. Rossyanie, uprzedzeni o naszem zbliżeniu się, sformowali na rynku czworobok z kilkuset ludzi, a za nim stanęły dwa szwadrony jazdy, ale opór nie był długi. W mgnieniu oka major Psarski na czele pierwszego plutonu naszej jazdy rozbił piechotę i taki rzucił postrach między Rossyan, że owe dwa szwadrony dragonów, nie spotkawszy się nawet z nami, uciekły z miasta. Straty z naszej strony były bardzo małe, bo ograniczyły się na kilku ciężko rannych, gdy tymczasem Rossyanie stracili w zabitych i rannych do pięćdziesięciu ludzi, a reszta ich piechoty wraz z kilkoma oficerami dostała się do niewoli i została odesłaną do Warszawy.

Zaraz po zajęciu miasta kilku oficerów ze sztabu wpadło do mieszkania horodniczego Rotha, który od chwili przejścia Rossyan przez Bug dopuszczał się największego bezprawia i okrucieństw na mieszkańcach sąsiedniej części województwa podlaskiego. Wydawał rozkazy na dostarczanie żywności pod karą śmierci i łupił dwory obywatelskie. W zawziętem zdzierstwie swojem miał nawet, jak mówiono, spustoszyć majątek dawnego znajomego swego, Michała Kuszla, podpułkownika wolnych strzelców. Żona zaś tego rabusia usiłowała dorównać swemu godnemu małżonkowi. Ile razy przechodził przez Drohiczyn oddział jeńców polskich, kazała mu

stawać przed swem mieszkaniem i wyszedłszy sama na ganek, urągała ich nieszczęściu w obec smutkiem przygnębionych mieszkańców miasta. Była to gorzka chwila odwetu dla tej jędzy bez serca, kiedy roztrząsano wszystko w jej domu, szukając jej zbrodniczego męża, a czekała ją jeszcze boleśniejsza. Nie znaleziono go wszelako. Przeczuwając, co go czekało, zdołał uciec i schować się w niedalekiej wiosce, ale następnej nocy został schwytany przez wysłany na ten cel patrol i przyprowadzony do obozu naszego pod Bujakami.

Rano (23-go lipca) wyprawiono nasz szwadron i kompanię strzelców Kuszla (na wozach) na zajęcie Siemiatycz. Zasłonięci lasem zbliżaliśmy się do miasta niepostrzeżeni, kiedy szef sztabu, kapitan Różycki (Józef), który prowadził awangardę, podjechał nagle do szpicy (złożonej z Rostkowskiego Wojciecha, Ulkowskiego Franciszka i mnie), i zawołał: „Naprzód chłopcy, kłusem!“ — W mgnieniu oka przebyliśmy miałką rzeczułkę i wpadliśmy do miasta. Dragon, który właśnie poił dwa konie, wskoczył na jednego i zaczął zmykać, a ja za nim. Kiedy już chciałem połechtać go lancą, zwalił się jak kłoda na ziemię i zawołał na klęczkach: „Pardon!“ — „Prowadź go na rynek“ — zawołał kapitan Różycki, a sam z moimi dwoma towarzyszami ruszył dalej galopem w miasto.

Przybywszy na rynek, pierwsza myśl moja była zamienić mego kucyka na jednego z dwóch koni zdobytych, które, choć nie frontowe ani bardzo rosłe, były wszelako nierównie silniej zbudowane niż mój. Nie tracąc ani chwili, zdjąłem kulbakę z mego konika i kazałem memu jeńcowi przełożyć na silniejszego z dwóch innych. Kiedy już ściągał popręgi, nadchodzi nasz szwadron, a kapitan Wysocki krzyczy do mnie: „Co to się znaczy? Jak śmiesz przywłaszczać sobie konia! Natychmiast mi przełóż kulbakę na swego“. — Rozjątrzony do najwyższego stopnia tym rozkazem, obracam się do kapitana Różyckiego, który właśnie nadjechał, prowadząc z sobą wziętego do niewoli komendanta załogi, i powiadam: „Czyż to się godzi, panie kapitanie, aby żołnierz, narażający swe życie na tak nędznej szkapie, jak moja, nie miał prawa zamienić jej na konia, którego sobie sam zdobył?“ — „Jak to, kapitanie Wysocki“ — zawołał szef sztabu — „chciałżebyś mu odbierać konia, którego sam zabrał? Ma prawo do niego, a ty“ — obracając się do mnie — „zabieraj konia i kulbacz go czemprędzej.“ Wysocki ściął zęby z złośliwem spojrzeniem na mnie, ale nie śmiał oprzeć się temu wyrokowi. Zabrał tylko drugiego konia pod swe juki i moją szkapinę.

W Siemiatyczach zabraliśmy kilkaset niewolników, po największej części rekonwalescentów, których zostawiono na wolnej stopie, znaczny skład mąki, sukna, trochę broni i instrumenta muzyki wojskowej. Zabraliśmy ostatnie oraz broń, prowiant zaś i sukno rozdano mieszkańcom. Kto chciał, brał.

Nad wieczorem wróciliśmy do obozu pod Bujakami, tylko co po rozstrzelaniu horodniczego Rotha i służącego jednego z naszych oficerów. Pierwszego sąd wojenny pod prezydencyą podpułkownika Ułana [1]) skazał na śmierć za łupieztwa, które popełniał w województwie podlaskiem. Drugi zaś w sprzeczce z kowalem wiejskim, który mu kuł konia, palnął do niego z pistoletu i zabił na miejscu. Za tę zbrodnię został sądem doraźnym skazany na bezzwłoczne rozstrzelanie.

Z brzaskiem 24-go lipca ruszyliśmy w dalszy marsz ku Białowieskiej puszczy, ponieważ według opowiadania mieszkańców w Wysokiem litewskiem, w Brańsku i w Bielsku były silne załogi, które razem zebrane mogły zniszczyć do szczętu całą wyprawę naszą. Przychylność nieraz rozczulająca mieszkańców, oraz korzyści, któreśmy odnosili w codziennych odtąd utarczkach z Rossyanami, dodawały nam otuchy; a pułkownik Różycki własnym przykładem znacznie przyczyniał się do utrzymania dobrego ducha i wesołego humoru między nami. Pomimo tego pośpiechu Rossyanie omal że nie otoczyli nas pod wsią Leśną, ale po dwugodzinnej rozprawie wydobyliśmy się z tej matni i pomaszerowaliśmy 26-go lipca ku Narewce.

Dnia 28-go lipca rano, kiedy czoło naszego szwadronu, idącego w awangardzie, wysuwało się z puszczy na majdan, ujrzeliśmy z przeciwnej strony lasu postępującą ku nam piechotę. Na dane sygnały rozsypali się z jednej strony tyralierzy, a z naszej flankierzy. Kiedy się tak posuwamy naprzód na mniemanych Rossyan, ktoś obdarzony lepszym wzrokiem zawołał: „To nasi! nasi!“ Porwani jakby czarodziejską siłą, ruszyliśmy naprzód galopem i w kilka chwil witaliśmy się wśród radosnej wrzawy z oddziałem

[1]) Podpułkownik Ułan, jak wszyscy rodacy tatarskiego pochodzenia, walczący w naszych szeregach, był walecznym żołnierzem. Przywiązanie do żony i dzieci skłoniło go niestety, przyjąć niebacznie ofiarowaną mu zdradziecką amnestyę. Wrócił więc z Austryi i dążył do rodzinnego siedliska, ale zaledwie przebył granicę, został przyaresztowany, oddany pod sąd wojenny i rozstrzelany — jak wieść nas doszła — pod Bujakami, na tem samem miejscu, gdzie ów horodniczy drohiczyński Roth został za swe rabunki śmiercią ukarany.

3-go pułku strzelców pieszych, w którym niejeden z nas spotkał znajomego albo przyjaciela. Była to awangarda korpusu jen. Dębińskiego. Radość nasza z tak niespodzianego spotkania była tylko chwilową, albowiem udzielona nam wieść o nieszczęśliwym losie korpusów Giełguda i Rolanda rozczarowała nas w straszny sposób, a widok znużonych żołnierzy Dębińskiego i posępnych twarzy braci Litwinów, z których się korpus składał w znacznej części, rozwiał wszystkie rojenia pomyślności, jakie nam towarzyszyły dotąd w naszej wyprawie na Litwę.

W kilka godzin później nadciągnęła aryergarda, przy której był sam jenerał Dębiński. Nadzwyczaj czułe przywitanie się jego z pułkownikiem Różyckim było dla uważnego świadka oznaką, że i wodzowie nasi byli pod wrażeniem smutku.

Tu się zakończyła przelotna wyprawa nasza w dzielnicę Zabużańską. Od tej chwili część korpusiku naszego trzymała straż tylną korpusu Dębińskiego i każdego rana trzeba nam było ucierać się z kozakami, a przy wymarszu towarzyszyły nam kilkakrotnie kule armatnie idących za nami Rossyan.

Dnia 1. sierpnia przed południem, kiedyśmy się zbliżali do Nura, ujrzeliśmy nagle kilkudziesięciu kozaków, cofających się z tego miasteczka. Na ten widok jadący obok nas kapitan Konstanty Bobowski [1]) krzyknął: „hurrah!“ — i wszyscy ruszyliśmy za nim z kopyta. Było nas tylko kilkanaście koni, a reszta szwadronu postępowała za nami o kilkaset kroków. Kozacy rozsypali się po obu stronach drogi i czmychnęli jak zające. Kapitan Bobowski, mając dzielnego rumaka, wyścignął ich wszelakoż i przelatując przed nimi, wstrzymywał ich ucieczkę, aby nam dać możność dopędzenia ich. W samej rzeczy kilku z nich zostało połechtanych po grzbiecie, kiedy nagle pod laskiem wypada cała sotnia i zmusza nas do odwrotu. Zwróciłem się ku gościńcowi, ale tam mnie już wyprzedzili kozunie. Nie pozostawało mi, jak tylko pędzić po miedzy poza rowem, gdzie był twardszy grunt niż na roli. „Kryczy pardon, miatieżnik sobaka!“ — wrzeszczał do mnie kozak, pędzący na równi ze mną, przedzielony odemnie tylko rowem, i puściwszy cugle koniowi, uchwycił swą dzidę za sam koniec w obie ręce i kilka razy usiłował pchnąć mnie, ale nadaremnie.

[1]) Po powrocie z Litwy awansowany na majora. Dzielny ten oficer, jak mi później mówiono, w smutny sposób skończył swą karyerę. Po kilku latach, spędzonych na emigracyi w Marsylii, wrócił w rodzinne strony do Galicyi i w 1863 r. wystrzałem z pistoletu odebrał sobie życie.

Kilka sekund później przybył nam na pomoc szwadron kaliskiej jazdy pod dowództwem kapitana Psarskiego z 3-go pułku szasserów, a kozacy znów w nogę. Straciliśmy w tej potyczce trzech ludzi.

Dopiero wracając ku Nurowi, spotkaliśmy naszego dowódcę z resztą szwadronu, choć przy pierwszem uderzeniu był nierównie bliżej nas, aniżeli Kaliszanie. — „Milionset djabłów!“ — zawołał kapitan Psarski — „trzeba być tchórzem, aby tak wystawić ludzi na zgubę, a samemu pozostać w tyle.“ — „Żartujesz sobie“ — odrzekł z uśmiechem Wysocki i połknął obelgę, którą mu w obec obu szwadronów w twarz rzucił dawny towarzysz ze szkoły wojskowej. To nam dało miarę, jakby się nasz dowódca okazał w ważniejszej rozprawie z nieprzyjacielem. Pomimo to pułkownik Różycki nie odjął mu dowództwa i tem pobłażliwem niedołęztwem zniszczył w nas do szczętu zaufanie, jakie żołnierz powinien mieć w odwagę swego dowódcy.

Przeszliśmy rzekę w miejscu, gdzie nam woda sięgała po pas, ale w kwadrans później kazano nam wrócić na prawy brzeg, nie wiem dla czego. Tak więc w przeciągu godziny przeszliśmy Bug trzy razy i zmoczeni do nitki ruszyliśmy w dalszy marsz. Dopiero pod Jadowem złączyliśmy się znów z korpusem Dębińskiego, który, jak się pokazało, zamiast pod Nurem, przeszedł rzekę w miejscu dogodniejszem. Jak poprzednio, tak i w dalszym marszu tworzyliśmy jego straż tylną i w niedzielę 3. sierpnia około godziny 9-tej stanęliśmy pod Pragą, gdzie nas rozłożono przed okopami.

Chętka zabawienia się choć kilka godzin w ukochanej Warszawie opanowała nas kilku tak silnie, że Kostkowski, Ulkowski i ja wysunęliśmy się cichaczem z obory, w której nas rozłożono, i spiesznym krokiem dążyliśmy do miasta. Ulkowski miał na sobie płaszcz oficera od dragonów, zdobyty na Litwie, i to nam ułatwiło przejście przez okopy. Sierżant na warcie, choć nas przyjął bardzo grzecznie, stosownie do danego mu rozkazu, dał nam kosyniera z poleceniem, aby nas zaprowadził do komendanta placu. Nie tracąc miny, szliśmy z nim dalej, a kiedyśmy się zbliżali do nieco okazalszego, oświetlonego domu, Ulkowski, wskazując nań, zapytał: „Czy to kwatera komendanta?“ — „A dyć tak wielmożny kapitanie“. — „No, to już nie turbuj się dalej, mój bracie, my sami trafimy do niego.“ — Poczciwy, dobroduszny Maciek wrócił więc na odwach, może po burę, a my, zamiast do komendy placu, zawinęliśmy na Stare Miasto, do domu, gdzie grzmiała hu-

czna muzyka. Weszliśmy do sali zapełnionej po największej części Poznańczykami, którzy przymaszerowali z Dembińskim tegoż samego dnia przed nami, i przepędziwszy kilka godzin bardzo wesoło, wróciliśmy ze wschodem słońca do obozowiska przed okopami Pragi.

Po świetnej, aczkolwiek nieszczęśliwie zakończonej kampanii pod dowództwem jen. Dwernickiego, wyprawa nasza przelotna na Litwę zdawała mi się nędzną ruchawką, a niedostatek silnych koni w naszym szwadronie i podejrzane męztwo jego dowódcy nie rokowały nadal dobrego powodzenia. Nic dziwnego, że w tem usposobieniu zaniosłem nazajutrz prośbę, aby mnie przeniesiono, choćby jako prostego żołnierza, do którego ze starych pułków jazdy na linii bojowej pod Bolimowem. Nim odpowiedź nadeszła, cały nasz oddział z 800 ludzi z 4 działami wyruszył rano 6-go sierpnia pod dowództwem pułkownika Obuchowicza w Sandomierskie z jenerałem Różyckim, który nas tam poprzedził, jako naczelnik siły zbrojnej trzech województw: sandomierskiego, krakowskiego i kaliskiego.

Niedaleko Jezierny wysłano nasz szwadron z dwoma działami ku Wiśle, której koryto w owem miejscu wskutek suszy było znacznie zwężone. Zatrzymaliśmy się przy zwykłym brzegu wśród łozów, a kanonierzy, zrzuciwszy z siebie mundury i nakrywszy głowy słomianymi kapeluszami pastuchów, którzy tam strzegli trzody wołów, przeznaczonych do Warszawy, kazali pędzić bydło przez piaski ku rzece, jakby do pojenia, sami zaś zasłonięci trzodą ciągnęli swe działa, odprzodkowali je tuż nad wodą i rozpędziwszy bydło na prawą i lewą stronę, rzucili na przeciwległy brzeg dwa granaty: jeden na galar, na którym odpoczywali sobie jak najspokojniej dragoni rossyjscy, a drugi między ich konie, które rozkulbaczone pasły się na przyległej łące. Zamłynkowało się w obu miejscach i wszystko, ludzie i konie, rozpierzchło się, jak gdyby rażone piorunem. Artylerya nasza dała jeszcze dwa strzały za uciekającymi i wśród śmiechu nad sprawioną Rossyanom niespodzianką wróciliśmy do naszego oddziału.

Tegoż wieczora stanęliśmy obozem pod Piaseczną, a następnego dnia ruszyliśmy w dalszy marsz ku Radomiu.

Już pod wieczór, blisko Magnuszewa, wysłał mnie pułkownik Obuchowicz z trzema towarzyszami z rozkazem, abyśmy śpiesznie dążyli przez całą noc do Jedlińska i kazali po drodze znieść wszystkie mosty na Radomce. Zatrzymaliśmy się tylko w Głowaczowie, aby zmęczonym koniom dać wytchnąć i o wschodzie słońca przybyliśmy do Jedlińska. Na tętent koni żyd jakiś zdjęty ciekawością

wysunął łeb na ulicę, a my go cap za brodę. Chcąc nie chcąc, wziął siekierę i wraz z kilku innemi mieszkańcami, którycheśmy przebudzili, musiał pójść zbierać most na prawem ramieniu rzeki od strony Radomia.

W ciągu tej pracy przeszedłem w bród rzekę o kilkanaście kroków powyżej mostu i postawiłem wedetę o kilka staj od miasta. Drugiego mostu od strony Głowaczowa nie kazałem zebrać przez wzgląd dla mieszkańców miasta, którzyby w takim razie byli osadzeni, jakby na wyspie. Dalsze wypadki okazały, że byłbym roztropniej postąpił, gdybym zniósł i ten most, a przynajmniej kazał poderwać pokład tak, aby go można było zebrać w kilka minut.

Znużony dwunastogodzinnym spiesznym pochodem, położyłem się na sianie przy koniach w stajni domu zajezdnego tuż przy rogu ulicy, prowadzącej z rynku do zniesionego mostu. Towarzysze moi uczynili toż samo i w kilka minut zasnęliśmy snem błogosławionych. W czasie, kiedy tak spoczywaliśmy, przybyło do Jedlińska dwunastu oficerów (z szwadronu oficerskiego), którzy się ofiarowali na ochotnika dotrzeć do jen. Różyckiego, gdziekolwiekby się znajdował, i uwiadomić go, że oddział, prowadzony przez pułkownika Obuchowicza, przybędzie tegoż wieczora do Jedlińska. Panowie ci zatrzymali się na odpoczynek na rynku i w czasie popasu weszli do winiarni. Nieszczęsnym i niestety zbyt rozpowszechnionym u nas zwyczajem zasiedli do kart, nie pytając może nawet, czy kto stoi na czatach przed miastem, czy nie.

Nagle ktoś mnie kopnął nogą w kark i krzyknął: „Wstawaj, Rossyanie idą!“ — Zerwałem się na nogi i ujrzałem przed sobą oficera od strzelców sandomierskich, który mi powtórzył, że kozacy tuż pod miastem. Skoczyłem na koń i ruszyłem z mymi dwoma towarzyszami do mostu zebranego. Tam zastaliśmy już naszą wedetę, a po drugiej stronie kilkunastu kozaków, z których jeden stał z podniesioną nahajką nad żydem, zaskoczonym w warzywnym ogrodzie, widocznie żądając, aby mu wskazał bród. Nieco dalej zbliżał się cały pluton, a za nim o jakie trzysta kroków cały szwadron. Było ich przynajmniej półtora sotni.

Na pierwsze strzały nadbiegło nam dwóch oficerów na pomoc, ale opór z naszej strony nie zdołał wstrzymać tak licznego zastępu. Za zbliżeniem się sotni przednia straż zaczęła przechodzić rzekę, a nam nie pozostało, jak tylko cofać się ku rynkowi, gdzie reszta oficerów była już na koniach, wyjąwszy dwóch, którzy wsiedli na bryczkę i ruszyli z miasta. Po ponownym oporze na rynku cofnęliśmy się za most, a kozacy stanęli na drugiej stronie. Pod

ogniem z jednej i drugiej strony Krauze, podporucznik z krakusów Kościuszki, zeskoczył z konia, chwycił w pobliskim domu za siekierę i wraz z szewcem, również opatrzonym w takową, usiłowali wyrąbać choć kilka bali. Daremne usiłowanie: bale były nowe i grube, a siekiery tępe, jak tylko u nas w Polsce można je było znaleźć w owym czasie. W rozpaczy Krauze rzucił siekierę do wody i skoczył na koń, a szewc odważny schronił się do swej chaty.

Trzy były przed nami drogi: na prawo i na lewo wzdłuż Radomki, a trzecia naprost od miasta obok kapliczki na pagórku. Kapitan Gołoński z 2-go pułku ułanów, jako najstarszy a zatem komenderujący oficer, obrał tę ostatnią. Po chwilowym oporze pod kaplicą nie pozostało nam, jak tylko uchodzić po obszernej płaszczyźnie.

W tej chwili rejterada nasza zamieniła się w istną gonitwę aż do chwili, w której dopadliśmy do uchodzącej przed nami bryczki. Jeden z siedzących na niej oficerów (z 3-go pułku ułanów), choć pijany, zeskoczył z niej, dosiadł konia, który był uwiązany za bryczką, i dobywszy pałasz, krzyknął na całe gardło: „Stój, równaj się! Wstyd uciekać przed kozakami.“ — Po trzeci raz stawiliśmy im czoło. Ich przednia straż, choć nierównie liczniejsza od nas, zatrzymała się natychmiast i nie śmiąc uderzyć na nas, paliła tylko z janczarek, aż się zbliżyła cała sotnia, kłusująca za nią w rozwiniętym froncie. Wtenczas dopiero kozacy znów rzucili się obces na nas. Jeden z moich towarzyszów pchnięty dzidą spadł z konia i został wzięty do niewoli; toż samo i służący oficerski z jukami. Bryczka, na której leżał chory oficer z 2-go pułku ułanów, wpadła im także w ręce. Nas zaś ścigali z zaciekłą zawziętością. Wszyscy towarzysze moi prześcignęli mnie, mając lepsze i mniej zmęczone konie. Mój zaś zmachany długim pośpiesznym pochodem poprzedniej nocy, zaczynał ustawać, kiedy nagle wrócił do mnie mój serdeczny przyjaciel i współwięzień z Karmelitów, Napoleon Szymański, wołając: „Nie bój się, Janie, ujdziemy razem, albo razem zginiemy.“ — W kilka minut później tuż pod wsią (zdaje mi się Kłowem) ścigająca nas szarańcza zatrzymała się nagle, a my także stanęliśmy przy opłotkach. Tu dopiero nastąpiła scena, jaka tylko mogła mieć miejsce pod murami Troi. Lżące wyrazy, jak: „sukinsyny“, „maszenniki“, „psubraty“, „podłe gałgany“ itp., sypały się z jednej i drugiej strony. Co więcej, wyzywaliśmy kozaków, aby się zbliżyli do nas; oni atoli stali, jak wryci, widocznie bojąc się strzelców, którzy w mniemaniu ich

musieli być ukryci we wsi. Temu winniśmy byli ocalenie nasze: droga bowiem, którąśmy uciekali, zamiast prowadzić wprost do wsi, zwracała się pod kątem prostym wzdłuż opłotków aż do samego jej końca. Gdyby kozacy byli zwrócili swą pogoń w przekątnym kierunku, byliby nas zagarnęli wszystkich do jednego.

Nie bawiąc się długo w ową utarczkę gardłową, poszliśmy dalej stępo i dopiero za wsią zwróciliśmy spieszniejszym krokiem ku pobliskiemu laskowi. Po półgodzinnym odpoczynku ruszyliśmy dalej i kołując przez resztę dnia, wróciliśmy drogą od Przytyka pod Jedlińsk, gdzie zastaliśmy nasz obóz. Kozacy zaś o kilka godzin przed przybyciem oddziału pułkownika Obuchowicza wrócili przez Jedlińsk ze zdobytą bryczką i trzema jeńcami ku Radomiu; drugi zaś ich oddział poszedł, jak nam mowiono, ku Nowemu Miastu.

Następnego dnia (12. sierpnia), już pod wieczór, szwadron z kompanią strzelców celnych wyruszył w marsz po lewym brzegu Radomki pod rozkazami pułkownika Piotrowskiego. Zaledwieśmy uszli ćwierć mili od Jedlińska, kiedy nagle gwałtowna burza z nadzwyczajną ulewą zmusiła nas zatrzymać się pod wielką murowaną owczarnią. Kiedy już noc zapadła i deszcz zaczął ustawać, pułkownik wysłał Ulkowskiego i mnie pod komendą wachmistrza szwadronu, Wolańskiego, do jakiegoś folwarku o milę dalej nad Radomką, z rozkazem, abyśmy się udali do właściciela tej wioski, który nas uwiadomi dokładnie, w jakiej sile Rossyanie zajmują Radom. Pokazało się później, że byliśmy przeznaczeni ściągnąć na siebie uwagę nieprzyjaciela i tem samem ułatwić jen. Różyckiemu zamierzony atak na miasto. Rozkazano nam zarazem wracać z powziętą wiadomością tąż samą drogą. Noc była tak ciemna, że nie było można niczego dojrzeć. Nie mogliśmy nawet postępować tak cicho, jak nam zalecono, ponieważ owa straszna ulewa zamieniła większą część drogi w kałużę, w której przy każdym kroku woda pluskała pod kopytami końskiemi. Dotarliśmy przecież do owego folwarku i zatrzymaliśmy się pod oborą. Wolański kazał mi trzymać konie, a sam z Ulkowskim poszedł do dworu, gdzie wszystko spało, jak zarżnięte, nawet pies nie zaszczekał. Po długiem pukaniu wpuszczono ich nareszcie do domu. Rozmowa z właścicielem nie była długą. Towarzysze moi wrócili wkrótce i bezzwłocznie ruszyliśmy nazad ku naszemu oddziałowi. Z wielkiem zadziwieniem dowiedziałem się, że ów szlachcic, który miał nam udzielić tak pewnych wiadomości o siłach rossyjskich w Radomiu, w odpowiedziach swoich utrzymywał, że wcale nie wie, czy Radom jest

zajęty przez Rossyan, czy też Polaków. Nie dziw, że powzięliśmy podejrzenie, że ten człowiek musi być nieprzyjacielem sprawy narodowej. Taki też raport Wolański zdał dowódcy oddziału, któryśmy spotkali na pół drogi. Kiedy oddział przybył nadedniem do tegoż dworku, właściciel jego, jeszcze młody, wysoki mężczyzna, tłómaczył się pułkownikowi Piotrowskiemu tem, jak mi mówiono, że nie dowierzał jego posłańcom, podejrzywając, że to Rossyanie przebrani w polskie mundury, w celu przekonania się o usposobieniu obywateli. Na dowód, że jest dobrym Polakiem, ofiarował się służyć mu za przewodnika w marszu ku Radomiowi. W samej rzeczy wsiadł natychmiast na koń, przeszedł z nami w bród Radomkę o kilkadziesiąt kroków od jego domu i towarzyszył nam dalej.

Dnia 13. około godziny 9-ej rano zatrzymaliśmy się na odpoczynek. Widać, że wiadomości tam odebrane nie były bardzo pomyślne, albowiem w półgodziny później pułkownik nakazał ruch wsteczny. Po przejściu Radomki ów obywatel kazał rozdać między żołnierzy chleba i wódki. Zaledwieśmy po tym posiłku uszli sto kroków, już kozacy się pokazali na brzegu przeciwnym, a dalej za nimi kilka szwadronów dragonów. Jedni i drudzy dążyli kłusem drogą równoległą do naszej ku Jedlińskowi, widocznie w zamiarze zastąpienia nam drogi i odcięcia nas od naszego korpusu. Nie udało im się wszelakoż. Tuż przed miastem spłoszyliśmy kilkudziesięciu kozaków i nie zatrzymując się ani chwili, przeszliśmy między mostem a kapliczką na wzgórku. Zaledwie zaczęliśmy schodzić dróżyną, prowadzącą ku Przytykowi, już dragoni i kozacy, rozsypani na flankiery, siedzieli nam na karku i pukali do nas bezskutecznie.

Tu jeden z naszych strzelców utarł im nosa w naszych oczach. Kiedyśmy przechodzili między kozakami, żołnierz ten pomimo nalegań oficera, udając tak zmęczonego, że już dalej kroku nie mógł stawić, rzucił się jakby z rozpaczy pod krzak i został za tylną strażą. Usłyszawszy nagle strzał tuż za nami, obzieramy się i widzimy na wzgórku dragona, spadającego z konia, a owego strzelca biegnącego chyłkiem z pod jednego krzaka pod drugi. W sekundę potem drugi strzał pada i z nim drugi dragon wali się na ziemię, a nasz strzelec, chwilę przed tem tak zmęczony, pędzi kłusem za nami i łączy się z aryergardą. Ten żarcik był nam w tej chwili bardzo użyteczny, albowiem dragoni i kozacy, choć zaczęli palić w krzaki, nie posunęli się ani na krok dalej za nami.

W nadziei powzięcia wiadomości o kierunku, w jakim poszedł jenerał Różycki, podpułkownik Ułan i kapitan Bielak z czterema innymi oficerami wyprzedzili nasz oddział na ochotnika. W Przytyku zostali obskoczeni przez kilkunastu kozaków, ale wyrąbali sobie drogę między nimi. Od tej chwili błąkaliśmy się przez sześć dni, napotykając niemal na każdym kroku nietylko snujących się kozaków, ale znaczne oddziały regularnego wojska rossyjskiego. W jednem miejscu, przechodząc ciasną drożyną leśną, weszliśmy na szeroki gościniec świeżo poorany kopytami końskiemi. Przeszedłszy go jaknajśpieszniej, zatrzymaliśmy się o kilkaset kroków w gęstwinie, gdzie wśród nakazanej nam ciszy słyszeliśmy bardzo blisko sygnały piechoty rossyjskiej, maszerującej tym samym gościńcem, któryśmy tylko co przekroczyli. W kilka chwil potem nadszedł wieśniak, którego ujrzałem poprzednio z koszem grzybów, siedzącego przy gościńcu. Po cichej rozmowie z pułkownikiem Piotrowskim przyszedł do naszego szwadronu. Dopiero, kiedy do nas przemówił, poznałem w nim z wielkiem zadziwieniem naszego towarzysza broni, Kołakowskiego, podoficera z jazdy augustowskiej, który wobec grożącej nam zagłady ofiarował się pułkownikowi na szpiega, aby się przekonać o sile okrążających nas Rossyan i o kierunku ich marszu. Dzięki sprytowi Kołakowskiego, wydobyliśmy się z tej matni i 19. sierpnia połączyliśmy się pod Szydłowem z naszym korpusem, który, zasilony jazdą i piechotą z kilku zakładów, liczył około 4.000 ludzi.

Spotkałem tam między innymi kolegami uniwersyteckimi Marcela Suchorskiego, Michała Smolińskiego, Jana Alcyatę i mego współwięźnia u Karmelitów, Michała Szwajcera. Dwaj ostatni byli oficerami w nowoutworzonym szwadronie 1-go pułku ułanów. Konie w tym szwadronie były rosłe i świeże. Porównywając je z naszemi znużonemi i odsednionemi szkapami, żal mnie ogarnął na chwilę, że wróciwszy z korpusu Dwernickiego, nie udałem się do zakładu w Sochaczewie. Tegoż samego wieczora Szwajcer i ja siedliśmy nad rowem blisko obozu i po długiej rozmowie o niedawnych zwycięztwach i obecnie chylącej się do upadku sprawie naszej rozpłakaliśmy się, jak dzieci. Rozstaliśmy się dopiero około północy i od tej chwili nie widziałem go, dopiero ośm miesięcy później w Bourges. Po krótkim spoczynku cały obóz ruszył przed świtem ku Skarzyskom, zkąd tegoż dnia (20. sierpnia) wysłano nasz szwadron z małym oddziałem piechoty — już nie pamiętam — do jakiego miejsca, jako eskortę do pociągu żywności i bydła. Prowadziliśmy przytem garstkę jeńców i kilku żydów,

posądzonych o szpiegostwo. Ponieważ okolica była już zalaną Rossyanami, maszerowaliśmy krętemi drogami. W nocy ciemnej, jak atrament, przeszliśmy w bród błotnistą rzeczkę, kiedy nagle pada strzał, a po nim drugi i trzeci. Jeden z naszych oficerów wypuścił konia naprzód i zawołał: „Nie strzelajcie, to swoi.“ Na ten odgłos odpowiedziano nam ogniem rotowym tak rzęsistym, że widocznie wpadliśmy na batalion piechoty rossyjskiej a może i więcej. Szczęściem, wśród tej ciemności nie ponieśliśmy żadnej straty. Jeden tylko z jeńców został ugodzony kulą i padł trupem na miejscu. W niepewności, jakie mamy przed sobą siły, dowódca dał rozkaz do odwrotu. Przy tej drugiej przeprawie straciliśmy tylko część bydła, które puszczono samopas, i złączyliśmy się znów z korpusem pod Iłżą w chwili, kiedy wszystko stało gotowe do boju, ponieważ na przeciwległych wzgórzach widać było rozwinięte bataliony rossyjskie z jazdą i artyleryą.

Sądziliśmy, że przyjdzie do rozprawy niemal na tem samem polu, gdzie 9. sierpnia jazda wołyńska pod dowództwem pułkownika Karola Różyckiego tak świetne odniosła zwycięztwo nad nierównie liczniejszą starą kawaleryą nieprzyjacielską. Rokowaliśmy sobie, że i tym razem przetrzebimy Rossyanów, a Wołyniacy już śpiewali swą pieśń przedbojową: „Hej, Kozacze, w imia Boha!“ — ale nie przyszło do starcia. Patrzyliśmy się tylko jedni na drugich przez długą godzinę i każdy poszedł w swoją stronę: Rossyanie poszli, nie wiem dokąd, a my do Ostrowca, zkąd jenerał wysłał nasz szwadronik [1]) do Kielc, widocznie w celu, abyśmy nasze wynędzniałe i zużyte konie zastąpili świeżymi. Od tej chwili aż do dnia 23. września nie braliśmy żadnego udziału w działaniu korpusu naszego.

Odpoczynek ten był nam nader potrzebnym nietylko fizycznie, ale moralnie, ponieważ to bezustanne i bezowocne kręcenie się po województwie sandomierskiem, przypominające poniekąd wojaczkę konfederatów barskich, było okrutnie nużącem dla żołnierzy, trwoniło siły materyalne i w końcu wpływało na osłabienie ufności w zdolność wodza i własną siłę. Na tych samych niemal błoniach w miesiącu lutym szliśmy pod wodzą Dwernickiego wprost na Rossyan i rozbijaliśmy ich stare pułki w puch i w perzynę; a w sierpniu, wyjąwszy bohaterską szarżę Wołyniaków (9. sierpnia) pod Iłżą, uwijaliśmy się między ich obozami i unikając otwartej bitwy, skubaliśmy ich tylko, gdzie było można,

[1]) Zaledwie dwa małe plutony.

i nawzajem byliśmy skubani przez nich. A wszelakoż tam i tu byli ciż sami Polacy, gotowi do poświęcenia się za sprawę narodową, a wodzowie byli równie walecznymi i dobrymi synami ojczyzny. Zkądże więc ta smutna różnica? — i komu ją przypisać? Czy jenerałowi Różyckiemu? — jak to niektórzy, może w celu zdjęcia winy z prawdziwych winowajców, uczynili. Zdrowy rozum i prawy sąd głośno wołają, że nie.

Zamiast uderzyć na główną armię rossyjską i przeciąć ją w chwili, kiedy odbywała marsz flankowy ku Nieszawie, albo też ruchem nagłym znieść siły rossyjskie w lubelskiem, Skrzynecki pozwolił Paszkiewiczowi przejść spokojnie przez Wisłę. Kiedy Rossyanie już zajęli część województwa kaliskiego, a z drugiej strony wkraczali w sandomierskie, oddał Różyckiemu dowództwo nad siłami zbrojnemi trzech województw z obowiązkiem prowadzenia małej wojny na tyle armii Paszkiewicza, będącej naówczas już w Łowiczu, oraz odpierania zarazem korpusu Rydygiera i utrzymania wymienionych województw w posłuszeństwie, jak gdyby były gotowe do buntu [1]).

Taktyka Skrzyneckiego była tak rozumną, jak postępek szalonego chłopa, któryby podpalił swą chałupę wraz z stodołą i usiłował gasić pożar kilkoma cebrami wody.

Siły, rozrzucone po zakładach w sandomierskiem i krakowskiem, były w najsmutniejszym stanie. Tam dopiero niedbalstwo i ślamazarność naszej organizacyi rezerw okazały się w całej swej szkaradzie. Jenerał Weissenhoff targował się z żydami, którzy się ofiarowali dostarczyć broni tak długo, że przy objęciu dowództwa przez jenerała Różyckiego było jeszcze kilka batalionów uzbrojonych w kosy, a dla pospolitego ruszenia nie było ani jednego karabina. Jenerał Stryjeński zaś formował trzydzieści kilka szwadronów tak śpiesznie, że nie wysłał ani jednego na linię bojową [2]);

---

[1]) Obywatele tych województw, ożywieni najszlachetniejszym duchem ofiarności, żalili się przeciwnie na lenistwo i nieudolność organizatorów rezerw, którzy pomimo obfitych zapasów nie pełnili swych obowiązków z należytą energią. Nieprzyjazne usposobienie dało się spostrzegać tylko między kolonistami i rękodzielnikami niemieckimi w województwie kaliskiem. Oddział pod dowództwem pułkownika Piotrowskiego, wysłany w kaliskie przeciw jenerałowi Knoryngowi, przetrzebił tych niewdzięczników.

[2]) Stryjeński hojnie na to zasłużył, aby go oddano pod sąd wojenny i rozstrzelano, albowiem jako jenerał, komenderujący rezerwami, nietylko zaniedbał włożonego nań obowiązku, ale chcąc zaskarbić sobie względy nieprzyjaciela, namawiał oficerów w przeddzień przejścia naszego do Galicyi do poddania się carowi na łaskę.

i nie dziw, ponieważ gdzie byli ludzie i siodła, tam koni nie stało, a gdzie konie były, tam nie było rynsztunku i przyborów. Czyjaż w tem wina? Zaiste, nie Różyckiego, ale Skrzyneckiego i ministra wojny. Oni to zamiast poruczyć formacyę rezerwowych sił ludziom pełnym patryotyzmu i energii, zdali ją na ludzi zużytych, gnuśnych i niechętnych, jak dwaj powyżej wymienieni jenerałowie.

Przy ofiarności patryotycznej obywatelstwa łatwo było wystawić jeszcze w czerwcu w trzech województwach: sandomierskiem, kaliskiem i krakowskiem, kilkanaście tysięcy dobrze uzbrojonych żołnierzy, gotowych do boju, na czele których Różycki byłby niechybnie wpędził Rydygiera korpus do Wisły, nie brakowało mu albowiem na odwadze. Ale na czele kilku tysięcy źle uzbrojonego żołnierza nie pozostało mu, jak tylko trzymać się rozkazu Skrzyneckiego i prowadzić małą wojnę.

Skrępowany tym rozkazem i nie ważąc się wydać Rydygierowi stanowczej bitwy (jak n. p. pod Iłżą d. 22. sierpnia), uwijał się bez użyczenia sobie i wojsku najmniejszego odpoczynku. Aby ochronić kaliskie i krakowskie i trzymać nieprzyjaciela na wodzy na tak długiej przestrzeni, rozdrabniał i tak już nieliczne siły, i tem samem narażał się czasem na dotkliwe straty. Niestety, wszystkie wysilenia jego i waleczność żołnierzy spełzły na niczem, dzięki nieopatrzności zacofanego i niedołężnego wodza naczelnego.

W kilka dni po przybyciu do Kielc wykomenderowano nas jako eskortę do dwóch winowajców, prowadzonych na śmierć. Pierwszym był dezerter z 6-go pułku strzelców krakowskich. Był to młody chłopak, nie mający może nawet dwudziestu lat. Nie przeszedł do Rossyan, ale opanowany tęsknotą za strzechą rodzinną, uciekł do matki, która była wdową. Dowódca batalionu, major Skrodzki, powodowany jedynie duchem służbistości i chcąc dać przykład żołnierzom, których za kilka dni miał prowadzić na linię bojową, tak silnie obstawał za wymierzeniem kary śmierci, że sąd wojenny skazał biedaka na rozstrzelanie. Żołnierze, odkomenderowani do wykonania wyroku, tak celnie wywiązali się z tego smutnego obowiązku, że wszystkie kule musiały go ugodzić w głowę, ponieważ połowa czaszki wyskoczyła z mózgiem na kilka stóp w powietrze.

Nie wiem, czy sumienie majora Skrodzkiego robiło mu później wyrzuty za jego bezwzględne zastosowanie kodeksu wojennego w chwili, kiedy podobna surowość była zupełnie bezużyteczną. *Summum jus, summa injuria.* Co do mnie, nie mogę nigdy przypomnieć sobie śmierci tego nieszczęśliwego chłopaka bez żalu,

a nawet bez pewnego uczucia zgrozy: że żołnierzowi bez wykształcenia i doświadczenia wymierzono tak niemiłosierną karę, gdy tymczasem dowódcom, którzy powinni być przykładem dla podwładnych, nieposłuszeństwo, zbrodnicza niedbałość a nawet widoczne złe chęci uchodziły bezkarnie. Tak to bywa na świecie i, niestety, podobno zawsze bywać będzie.

Po rozstrzelaniu tego żołnierza powieszono — i to bardzo niezgrabnie — drugiego delinkwenta. Był nim syn jakiegoś nauczyciela wiejskiego. Hojnie zasłużył na tę karę, ponieważ służył Rossyanom za szpiega i naprowadził ich na śpiących powstańców górniczych z Suchedniowa i Wąchocka.

W kilka dni później rozłożono nas w dwóch pobliskich wioskach i rozesłano po dwóch w asystencyi wyznaczonego przez komisyę wojewódzką obywatela miejskiego, dobrze obeznanego z całą okolicą, z rozkazem, abyśmy spisali rejestr wszystkich koni zdatnych pod kawaleryę i do pociągu Wypełnienie tego obowiązku nie szło jak z kłębka, ponieważ konie rzadko gdzie były w stajni, wypadało najczęściej szukać ich w polu. Po powrocie z tej czynności, która zabrała przynajmniej dziesięć dni, sądziłem, że znajdę nasz oddział w lepszym stanie, aniżeli go zostawiłem. Żołnierze sami ponaprawiali przybory, jak mogli, ale o dokompletowaniu uzbrojenia nikt nie pomyślał, tak, że niejeden był bez lancy a inny bez pistoletu. Kapitan zaś Wysocki ani się pokazał przez kilka tygodni. Może siedział u jakiego szlachcica, gdzie mu było wygodniej, niż przy nas. Jedyna czynność wojenna, którą dostrzegłem w Kielcach po wyjściu batalionu 6-go pułku strzelców pieszych, odbywała się w zamku, gdzie kilkanaście kobiet robiło naboje karabinowe. O formującym się tam pułku kozaków Steckiego nie warto nawet wspominać. Było ludzi zaledwie na jeden pluton, po większej części bez koni, i w takim stanie garstka ta przeszła do Galicyi. Wszystko to każe się domyślać, że komenderujący tam jenerał Weissenhof musiał być w letargu.

Przypomniawszy sobie, że ojciec mego kolegi i towarzysza broni, Antoniego Bacewicza, był podsędkiem w Kielcach, odwiedziłem go jednego dnia. Zastałem oboje rodziców, pogrążonych w smutku, ponieważ wiedzieli już przez jakiegoś korespondenta w Warszawie, że syn ich nie wrócił z wyprawy na Litwę. Matka szczególnie opłakiwała go rozpaczliwie, jako straconego. Opisałem, gdzie i kiedy został odciętym od naszego korpusu i usiłowałem obudzić w niej nadzieję, że mógł się ocalić i wrócić później do Warszawy.

Dnia 14. września wiadomość o kapitulacyi Warszawy padła na nas, jakby piorun. Cała nadzieja nasza opierała się odtąd na głuchej wieści o stawianiu mostu pod Zawichostem i połączeniu się z nami korpusu Romarina. Spodziewając się lada chwila rozkazu do wymarszu, wstąpiłem d. 18. na pożegnanie do państwa Bacewiczów i z prawdziwą radością dowiedziałem się, że syn ich żyje i wrócił do Warszawy przed kapitulacyą.

Kielce widocznie się już wypróżniały, a my tymczasem staliśmy ciągle na naszem stanowisku bez najmniejszej wiadomości, co się dzieje około nas. Nareszcie d. 24. o południu dano rozkaz, aby połowa naszego półszwadronu stanęła w godzinę dobrze uzbrojona i gotowa do marszu. Dodatek „dobrze uzbrojona“ był bardzo właściwy, ponieważ przez ciąg kilku poprzednich tygodni nikt się nie był zajął uzupełnieniem naszego uzbrojenia. Dowódca przeznaczył na tę wyprawę drugi pluton, a my z pierwszego plutonu musieliśmy dać jeden lancę, inny zaś pałasz, nie przewidując, że nie zobaczymy się z towarzyszami naszymi, dopiero w Galicyi i to nie ze wszystkimi. Pod wieczór i nas wyprowadzono w marsz na całą noc. Nad ranem przeszliśmy przez Pinczow i złączyliśmy się z częścią [1]) korpusu Różyckiego, rozłożonego na prawym brzegu Nidy.

Po krótkim odpoczynku, około godz. 7-mej rano, widziałem, jak się zabierano do obwijania słupów mostu słomą i oblewania smołą [2]). Nim go podpalono, cały obóz ruszył w marsz, zostawiając w tylnej straży mały batalion 22-go pułku piechoty i strzelców Grotusa. Zaledwieśmy zaczęli wstępować na pasmo górzyste między Michałowem a Górą, na odgłos działowego ognia zatrzymano naszą kolumnę. Nadaremnie spozieraliśmy w stronę naszej ariergardy. Zbyt daleka przedzielała nas przestrzeń, ale nie zostaliśmy długo w niepewności o jej losie. W kilka chwil ujrzeliśmy oficera, pędzącego ku nam, co tylko koń mógł wyskoczyć, z wiadomością, że jazda rossyjska przeszła Nidę, nim się most zapalił, rozbiła naszą straż tylną i zbliża się ku nam. Cios ten spadł jakby piorun na jenerała Różyckiego. Z rozpaczą w oczach uszykował nas dwudziestu kilku i wszystko, co tylko miało konia: oficerów i służących w jeden szereg, aby tylko czoło stawić ośmielonemu nieprzy-

---

[1]) Cała jazda była z jenerałem Kamińskim pod Szkalmierzem, a druga część z pułkownikiem Piotrowskim w województwie kaliskiem.

[2]) Mówiono, że żydzi, którzy dostarczyli tej smoły, domięszali do niej wody. Musiała to być prawda, ponieważ, nimeśmy ruszyli w dalszy marsz. podłożony ogień syczał na miejscu, ale nie ogarnął mostu.

jacielowi. Tak był rozżalonym, że, gdyby było przyszło do starcia, byłby sam poszedł z nami do szarży. Rossyanie wszelakoż nie śmieli puszczać się za nami w okolicę, gdzieby nie mogli rozwinąć swej konnicy. Co widząc jenerał, nakazał dalszy pochód do Miechowa, gdzie nas czekała smutna wiadomość o rozbiciu jazdy naszej pod Szkalmierzem.

Po kilkugodzinnym odpoczynku ruszyliśmy dalej do Olkusza, dokąd już się były schroniły różne władze z trzech graniczących z sobą województw. Głuche obiegały wieści o zajęciu Krakowa przez Rossyan i z każdą chwilą nikn̨ęła nadzieja przedłużenia walki. Żołnierze — zwłaszcza z pospolitego ruszenia krakowskiego i kaliskiego — wracali do swych zagród, pozostali tylko ci, którym było zbyt daleko w strony rodzinne, oraz ci, którzy żywili nadzieję rychłego odwetu przy pomocy Francyi.

W smutku i ponurem milczeniu opuściliśmy Olkusz d. 27. pod wieczór i nad ranem 28. września stanęliśmy na terytoryum Rzeczypospolitej krakowskiej w Chrzanowie [1]). Po niedługim odpoczynku pociągnęliśmy do Bobrka i niedaleko od tej wsi postaliśmy jeszcze kilka godzin, aż pułkownik Zadera, wysłany na ten cel do jenerała Pidol, komenderującego w Oświęcimiu, przywiózł pozwolenie przekroczenia granicy państwa austryackiego.

---

[1]) *Quicunque amisit dignitatem pristinam*
Ignavis etiam jocus est in casu gravi.

Tak to na tym świecie: „Na zdechłego lwa i kozy skaczą". — Dwa przykłady w owej smutnej chwili konania naszego przekonały mnie raz jeszcze o prawdzie powyższego przysłowia. W Miechowie posłano nas do magazynu z rozkazem, abyśmy się zaopatrzyli w jak najwięcej owsa. Magazyn był nim literalnie zapełniony, ale magazynier, widocznie duch rossyjski, widząc, że każdy z nas napełnia sobie sakwy, zaczął się sierdzić i w końcu wymyślać na nas, choć pewno wiedział, w jak trudnem znajdujemy się położeniu. W zwadzie tej dostał tylko kilka szturchańców, zamiast porządnych płazów, na które zasłużył.

W Chrzanowie zaś byłem świadkiem sceny zupełnie podobnej do tej, którą miałem po wejściu korpusu Dwernickiego do Galicyi pod Chlebanówką. Znużeni i przeziębli nocnym marszem z Olkusza, weszliśmy kilku do szynku i kazaliśmy sobie dać wódki. Przy zapłacie żyd szynkarz nie chciał przyjąć od wachmistrza pięciozłotówki papierowej, jak za połowę jej wartości. Na nieco żywe przełożenie płacącego spojrzał się hardo i zawołał: „Ny, co to wason myśli? tu nie Polskie." — „Ach, psiawiaro!" — krzyknął wachmistrz rozjątrzony i zarazem wyrznął bezczelnego żyda tak silnie w twarz, że żyd, wrzeszcząc: „Gwalt! rabusie!", uciekł do drugiej izby, a my, nie czekając, co z tego będzie, wróciliśmy do naszego oddziału.

Po rzewnem przemówieniu do nas jenerała Różyckiego przeprawiliśmy się galarami na prawy brzeg Wisły i otoczeni eskortą, złożoną z huzarów, nocowaliśmy w polu na drodze do Oświęcimia: oficerowie po jednej stronie drogi a żołnierze i podoficerowie po drugiej. Chwila przejścia granicy i odłączenia nas od wiernych towarzyszów broni była tak smutną, że nie czuję się mocen opisać gorzkiego żalu, którym byliśmy wówczas przygnębieni. Dziś nawet — po kilkudziesięciu latach — ile razy myślą wrócę do roku 1830/31, gniew niepohamowany mnie porywa na ubóstwianych sterników, jak Chłopicki i Skrzynecki, którzy przez brak wiary w poświęcenie narodu tłumili jego zapał, zmarnowali drogi czas, nie użyli zapasów, które mieli pod ręką, i tak pozbawili nas zwycięztwa.

Nazajutrz odprowadzono nas pod tąż samą eskortą do Zatora i rozłożono w mieście po kwaterach. Generał zaś stanął ze sztabem w zamku i tam założył kancelaryę i Radę gospodarczą do wydawania stanów służby oraz patentów tym, których rozkazem dziennym pod Olkuszem awansował na wyższe stopnie [1]) i do wypłacenia nam żołdu za miesiąc wrzesień i październik. Ci, którzy nie mogli być pomieszczeni w Zatorze, oraz oddział, który pod dowództwem pułkownika Piotrowskiego przedarł się z kaliskiego, zostali rozłożeni po wsiach okolicznych. Komunikacya między nami była utrudnioną [2]) przez wedety, któremi każda miejscowość była otoczoną. Wśród niepewności losu ajenci puszczali wieści o łasce cara i ogólnej amnestyi, ale z małymi wyjątkami nikt jej nie wierzył. Wzdychaliśmy niemal wszyscy do chwili, w której nam będzie wolno udać się do Francyi, na której jedynie pokładaliśmy nadzieję rychłego i zbrojnego powrotu na ziemię ojczystą.

[1]) W tej liście było sześciu podoficerów z naszego szwadronu, a między tymi Ulkowski, Kostkowski i ja.

[2]) Tak była trudną, że w nagłej chwili, kiedy zabierałem się szukać schronienia na Węgrzech, nie mogłem się nawet znieść z moim drogim Napoleonem Szymańskim, będącym również na liście tych, których wydania Rossyanie żądali od władz austryackich.